

Pismo Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema na Węgrzech

GŁOS POLONII

wrzesień 2004 r.

Nr 78

JANECZKA

RYSZARD KRUGA

STEFANIA PIEŁOK

MAGYAR NYELVŰ CIKKSEK



REMONT WYMUSZONY



■ W siedzibie naszego Stowarzyszenia dobiegł końca wymuszony żywiołem remont. Był on od dawna na czasie, ale chroniczny brak środków nie pozwalał nawet na odnowienie lokalu. Niestety wypadek – pożar jaki miał miejsce nocą z 3 na 4 lipca – zmusił jednak do podjęcia natychmiastowych działań. Środki uzyskane od ubezpieczyciela, uzupełnione darowiznami z niektórych samorządów mniejszości polskiej, pozwoliły na przystąpienie do likwidacji zniszczeń i stopniowe doprowadzanie siedziby do stanu używalności.



ZYWIOŁEM



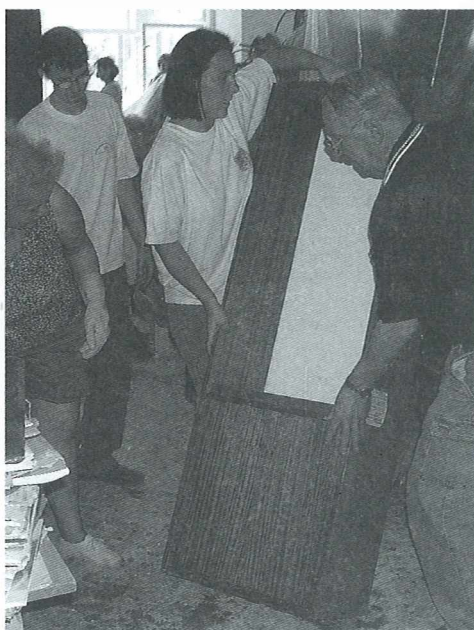
W pracach remontowych, oprócz sił fachowych, uczestniczyli aktywnie członkowie organizacji z jej Zarządem na czele. Nie szczędzili sił i czasu: Korinna Wesołowski z mamą, Eugeniusz Korek, Maria Felföldi z synem, Wanda Mészáros, Alfred Wtulich, Magdalena Gajda-Szombati, Gabriela Hajdu, Marta Orlińska, Małgorzata Végh, a także polonijna młodzież: Krystian Mészáros, Tomasz Erdős, Tomasz Herendi. Szczególnie zaangażował się w prace remontowe były Prezes Stowarzyszenia, Andrzej Wesołowski, który je na bieżąco nadzorował i koordynował.

Za ofiarność należą się im wielkie słowa uznania i podziękowania. Tak, jak i szczególne słowa podziękowania pragniemy tą drogą przekazać wszystkim tym organizacjom, które przyszyły nam w sukurs w potrzebie, a imiennie: DSMP V dzielnicy (100.000 Ft), DSMP XVII dz. (30.000), DSMP II dz. (50.000), i DSMP XIII dz. (50.000).

Udzielenie pomocy finansowej zapowiedziały też: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” i Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Ich środki będą wykorzystane na uzupełnienie zniszczonego wyposażenia.

Ofiarność ludzi i solidarność polonijnych wspólnot – przykro, że nielicznych, zważywszy istnienie 50 samorządów polskich – pozwoliły przywrócić używalność siedziby i dzięki temu od 19 września możemy realizować w niej stałe i okolicznościowe programy.

Wszystkim, którzy okazali nam pomoc jeszcze raz serdecznie dziękujemy!



Posiedzenie OP

■ W dniu 11 września br. odbyło się posiedzenie Organu Przedstawicielskiego naszego Stowarzyszenia. Zwołał je Zarząd dla omówienia rezygnacji z funkcji prezesa Korinny Wesołowski, która swą decyzję umotywowwała poważnym zwiększeniem zobowiązań zawodowych. W tej sytuacji OP polecił zwołać Walne Zebranie członków na 9 października br., którego zadaniem będzie wybór nowego prezesa i ewentualnie dookoptowanie składu Zarządu. W wyborach prezesa OP rekomenduje Eugeniusza Korka i Marię B. Felföldi.

OP wysłuchał też sprawozdania Zarządu z przebiegu remontu siedziby i zapoznał się z aktualną sytuacją finansową Stowarzyszenia.

JK

MIASTO NIEZWYCIĘŻONE

■ 1 sierpnia 1944 roku stolica Polski – Warszawa stanęła do walki, biorąc odwet za pięć lat ponizania i cierpienia, i z nadzieją rychłego pokonania zienawidzonego okupanta. Wraz z wybuchem Powstania powrócił optymizm, odrodziła się wolność. Ów narodowy zryw był kontynuacją wcześniejszych, krwawo tłumionych, zbrojnych wystąpień Polaków przeciwko ciemności, ich dążenia do odzyskania wolności.

Niestety, skutki starcia Warszawy z nazistowskim okupantem oraz ogrom dramatu jej mieszkańców przerosły wszelkie wyobrażenia. Miasto pozostawione samo sobie, bez należytej pomocy aliantów, wykrwało się w heroicznym boju. Walczyło 63 dni. W walkach zginęło 18 tysięcy powstańców. Śmierć poniosło blisko 200 tysięcy ludności cywilnej, z którą okupant obchodził się szczególnie okrutnie. Hitler nakazał zrównać miasto z ziemią, by zniknęło na zawsze z mapy Europy. Ze zburzonej Warszawy Niemcy wypędzili ponad milion mieszkańców. A wszystko to działo się wówczas, gdy na prawym brzegu Wisły, w obrębie stolicy stały już wojska sowieckie, biernie przyglądając się agonii miasta.

Choć Powstanie zakończyło się klęską, to jednak w świadomości społecznej pozostało przeświadczenie, że są wartości, dla których warto walczyć i ginąć: wolność, niepodległość i godność narodu. Powyższa myśl znalazła się w liście papieża Jana Pawła II do uczestników obchodów tegorocznej rocznicy Powstania: „Chylę głowę przed powstańcami, którzy w nierównej walce nie szczędzili krwi i własnego życia dla Ojczyzny. Choć w ostatecznym rozrachunku na skutek braku odpowiednich środków i z powodu zewnętrznych uwarunkowań ponieśli militarną klęskę, ich czyn na zawsze pozostanie w narodowej pamięci jako najwyższy wyraz patriotyzmu. Jak wiele musiało być miłości do Ojczyzny w sercach tych, którzy nie zważając na młody, często jeszcze dziecięcy wiek, na całe życie, które otwierało się przed nimi, szli na barykady w imię osobistej i wspólnej wolności.”

Od pamiętnego Sierpnia 1944 roku dzieli nas cała epoka. Warszawa – „miasto niezwyciężone” podniosło się z ruin. Dzięki

pracy trzech pokoleń jest coraz piękniejszą, dwumilionową metropolią w sercu Europy. Coraz mniej żyje wśród nas uczestników i świadków tragicznego lata sprzed sześćdziesięciu laty. Tegoroczne obchody miały niezwykle uroczysty charakter i były bodaj jedną z ostatnich okazji oddania hołdu żyjącym jeszcze uczestnikom Powstania. Głównym akcentem kilkudniowych uroczystości było niewątpliwie otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego w sobotę 31 lipca. Historia stworzenia takiego muzeum sięga końca lat 40. Nowa ideologia oraz związana z tym inwersja historycznych faktów spowodowała, że nie było to możliwe przez wiele lat. Dopiero w latach 90. powrócono do tego tematu, ale i wówczas realizacja idei napotykała na szereg trudności. Wyglądało to niekiedy na brak woli i zdecydowania ówczesnych władz. Podkreślał to, w swoich okolicznościowych przemówieniach, Prezydent Stolicy Lech Kaczyński mówiąc, że grzechem było czekać, grzechem wobec żyjących bohaterów Powstania. Dodam od siebie, że również grzechem wobec młodego pokolenia:



Na tegoroczne obchody 60. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego organizatorzy zaprosili żyjących uczestników tego wydarzenia w kraju i za granicą. Łącznie przybyło ich ponad trzy tysiące w tym około 300 osób z różnych stron świata. Na Węgrzech mieszka kilku powstańców, m.in. Janina Kószełghy, Zbigniew Czarnecki, Stanisław Gwizdalewicz, Ryszard Matyńkowski, lecz jedynie pani Janina Kószełghy mogła przyjąć zaproszenie i uczestniczyć w uroczystościach, pozostałym nie pozwalał na to ich stan zdrowia. Towarzyszyli jej Károly Pál i niżej podpisany. Trzydniowy pobyt w Warszawie zafundowała Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” dzięki zachodom i życzliwości jej wiceprezesa, honorowego członka naszego Stowarzyszenia, Grzegorza Łubczyka. Program uroczystości był niezwykle bogaty, realizowany w kilku miejscach jednocześnie. Oprócz – nazwijmy to – imprez centralnych, wiele spotkań miało miejsce w poszczególnych dzielnicach stolicy. Kulminacyjne momenty to koncert „Czas Pamięci” – W hołdzie Bohaterom na placu Powstańców Warszawy, otwarcie



Na Powązkach

Rocznice



Centralna uroczystość

Muzeum Powstania, uroczysty Apel Poległych, Msza św. ku czci poległych celebrowana przez Prymasa Polski, uroczystość złożenia wieńców na cmentarzu powązkowskim oraz koncert zamykający obchody pt. „Dzieci Warszawy 1944-2004”. Historycznym wydarzeniem było uczestnictwo w obchodach – oprócz Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego i członków Rządu – gości zagranicznych, wśród nich: Kanclerza Niemiec, Gerharda Schrödera. Zabierając głos podczas publicznego wystąpienia wyraził żal za krzywdy i cierpienia jakich Polacy doznali ze strony Niemców podczas wojny. Natomiast sekretarz stanu USA zapewniał, że Polacy już nigdy nie pozostaną sami podczas jakiegokolwiek obcej agresji, możemy liczyć na nich. Piękny gest, ważka deklaracja. Oby tak było!

Powyższe wydarzenia były szeroko opisywane i komentowane w prasie i telewizji. TV Polonia także transmitowała niektóre z nich na żywo. O innych donosiła w dziennikach. Sądzę zatem, że są one znane naszym czytelnikom, dlatego pominię je i ograniczę się tu do osobistych refleksji.

Jak to często, przy różnych okazjach podkreślam: z urodzenia jestem gdańszczaninem. Pomimo, iż dość dobrze znam Polskę, Warszawa jest tym miejscem, które dopiero „odkrywam”. Ukształtował się we mnie, jeszcze przed laty, dziwny stereotyp o tym mieście. I to mało pozytywny. Stolica Polski zamykała się w pojęciach: Pałac Kultury, Trasa W-Z, Ściana Wschodnia, Syrenka, Nike, Dworzec Centralny, Łazienki. Ze wstydem muszę się przyznać, iż pomimo kilkakrotnych krótkich pobytów i przejazdów, nie poznałem Warszawy. Spędzone tam obecnie trzy dni diametralnie zmieniły moją opinię. Widziałem wreszcie nie tylko to wspaniałe miasto,

Mur z listą poległych



odbudowane z pietyzmem zabytki, nowoczesne budowle, ale także ludzi, warszawiaków. Być może właśnie obchody rocznicy wybuchu Powstania sprawiły, że na każdym kroku odczuwaliśmy podniosłą atmosferę, życzliwość, sympatię. Towarzysząc naszej uczestniczącej Powstania, pani Janinie, ubranej w granatową garsonkę z medalami na piersi i białą czerwoną opaską na ramieniu, byliśmy mile z uśmiechem przyjmowani. Sztandar Koła Weteranów Polskich na Węgrzech, który nosił Károly Pál był naszą najlepszą przepustką. Wchodziliśmy nawet tam, gdzie od innych proszono jakieś specjalne zaproszenia. Nawet tłum pieszych cywilów na chodnikach i w przejściach życzliwie ustępował nam drogę. Podczas wszystkich uroczystości z udziałem wielotysięcznego tłumu wspaniale funkcjonowała służba pierwszej pomocy. Pełnili ją harcerze, którzy zjechali się na tę okazję, nie tylko z całej Polski, ale także z zagranicy. To oni roznosili wśród uczestników napoje chłodzące, opiekowali się starszymi, pilotowali gości. Wśród wielotysięcznego tłumu często spotykaliśmy znajome twarze. Podczas otwarcia Muzeum zupełnie przypadkowo

10 lat temu na ścianie gmachu Muzeum Wojska w Budzie odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci poległego w bitwie pod Warną królowi Polski i Węgier Władysławowi III Warneńczykowi oraz rycerzom obu krajów.

40 lat temu w Balatonboglárze, na ścianie budynku działającego podczas II wojny światowej Gimnazjum Polskiego „Wdzięczni Polacy” umieścili tablicę pamiątkową.

70 lat temu w parku Népliget w Peszcie odsłonięto monumentalny pomnik Polskiego Legionisty.

130 lat temu zmarł w Paryżu polski bohater węgierskiej Wiosny Ludów, dowódca Polskiego Legionu, generał Józef Wysocki.

155 lat temu rozkazem gen. Paszkewicza stracono w Nagyvárad kpt. Kazimierza Rulikowskiego, oficera carskiej armii, który przeszedł na stronę Węgrów walcząc w ich narodowym powstaniu 1848-49 roku.

375 lat temu urodził się król Jan III Sobieski, pogromca Turków, wyzwoliciel Wiednia, Esztergomu i północnych terenów Węgier.

Zebrał: J.K.

usiedliśmy w rzędzie krzeseł za panem prof. Andrzejem Stelmachowskim. Niedługo potem w budynku Muzeum pokłoniliśmy się panu premierowi Jerzemu Buzkowi, który – o dziwo – pamiętał nas z wizyty w Domu Polskim. Pani Janina wytrwale wypatrywała swych starych znajomych i towarzyszy broni. Spośród tych pierwszych spotkała pana Adama, tych z okresu wojny – niestety nie. Niesłychanie przyjemne były także spontaniczne spotkania z byłymi pracownikami ambasady.

Moim największym przeżyciem była uroczystość na cmentarzu na Powązkach oraz moment nastania godziny 17 czyli „W”, początku Powstania. Obwieściły to syreny oraz tysiące klaksonów samochodowych. Na trzy minuty w dwumilionowym mieście zamarło życie. Zatrzymały się wszystkie pojazdy, zatrzymali się piesi. Na Powązkach tysiące ludzi zastygło w bezruchu. Hałas i szum, który stale towarzyszył nam w mieście nagle ustał. Ta dziwna, nienaturalna cisza, powaga i uniesienie na twarzach ludzi przenikała dogłębnie.

Jestem rad, że miałem okazję być w tych dniach w Warszawie i być świadkiem historycznego wydarzenia. Doznane tam przeżycia duchowe i estetyczne sprawiają, że zacznę myśleć o tym mieście inaczej. Stało mi się bardzo bliskie i kochane.

Tekst i zdjęcia: Jerzy Kochanowski ■

- Zanim podzielę się doznanymi przeżyciami, małe wyjaśnienie: „Bronka” to mój pseudonim właściwy, ale ponieważ na Starówce byłam powszechnie znana jako używanie nie miało sensu, więc zwano mnie z prawdziwego imienia „Janeczka”.

Trzy dni obchodów to wiele przeżyć, wzruszeń, powrotu obrazów z tamtych dni. Pierwsze wspaniałe odczucie sprawili mi harcerze. Ściągnięci z całej Polski i świata wzorowo pełnili swoje zadania. Harcerze z prawdziwego zdarzenia. Harcerze, którzy wiedzą co to znaczy harcerski rozkaz i potrafią go wypełnić. Dali dowód, że na nich można liczyć.

Chociaż nie zwykłam płakać, kilkakrotnie nie mogłam powstrzymać łez, mglistości w oczach, a to dlatego, że choć Powstanie w mojej pamięci zawsze żyje przeżyta rzeczywistością, to jednak podczas tych uroczystości wspomnienia powracały ze zdwojoną siłą. Wszystkie miejsca, w których doszło obecnie do spotkania żyjących jeszcze uczestników walk były miejscami, które siłą rzeczy przywoływały i kojarzyły tamte chwile. Jako łączniczka V Kompanii Komendy Głównej miałam tzw. białą legitymację uprawniającą do poruszania się po całej Warszawie. Byłam więc wysyłana do wielu punktów w całej stolicy, oprócz Mokotowa, Ochoty i Pragi. Może i tam przyszłoby mi wykonywać zadania, gdyby nie fakt, że przez pierwsze 5 dni Powstania czekaliśmy w Śródmieściu, na Wspólnej na przydział zadań. Potem wysłano nas na Wolę. Tam okazało się, że dla łączniczek nie mają roboty. Wysłano więc nas do „Obroży”, czyli na tereny przyległe do Warszawy. Tam też nie było dla nas zadań...

Kto miał za sobą jakieś szkolenie został przydzielony do walczących oddziałów. Studiowałam medycynę, chodziłam do podchorążówki i tak trafiłam na Starówkę.

A powracając do samych obchodów. Przede wszystkim wielkie podziękowania należą się Wiceprezesowi Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” Panu Grzegorzowi Łubczykowi i samej Fundacji, której byliśmy gośćmi oraz b. Konsulowi RP w Budapeszcie, Jarosławowi Adamskiemu. (Oprócz mnie w węgierskiej delegacji był Károly Pál, który nas zawiózł do Warszawy i jemu przypadło

Pani Janina Kószegey, ps. „Bronka” – kurier w szeregach V Kompanii Komendy Głównej, w Powstaniu Warszawskim od 6 sierpnia do 10 września walczyła na Starówce jako łączniczka kanałowa i sanitariuszka Szturmowej Kompanii „Wyrwy”. Jako jedyna z grupy Powstańców żyjących na Węgrzech uczestniczyła w obchodach 60. rocznicy historycznego zrywu Polaków przeciwko okupantowi. Ją poprosiliśmy o podzielenie się z Czytelnikami osobistymi refleksjami z tych trzech dni spędzonych w Warszawie.



uczestniczyć z naszym sztandarem kombatanckim w pocztach sztandarowych, i Jerzy Kochanowski.) Pan Łubczyk troszczył się o nas przez cały czas. Program był niezwykle bogaty, nie dało się uczestniczyć we wszystkich punktach obchodów. Wybrałam uważane przeze mnie za najważniejsze.

Spotkanie z Prezydentem Warszawy miało miejsce na dziedzińcu obecnego Magistratu przy pl. bankowym. Niezliczone tłumy ludzi wypełniające ogromny plac aż po Ogród Saski! Słowa gorzkiej prawdy wypowiedziane przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego: dlaczego tak późno daje się wyraz uznania bohaterskiej walce Powstańców?... Ogólny aplauz... Zdjęcie panoramiczne uczestników, na którym każdy jest rozpoznawalny... Muszę je jakoś zdobyć!

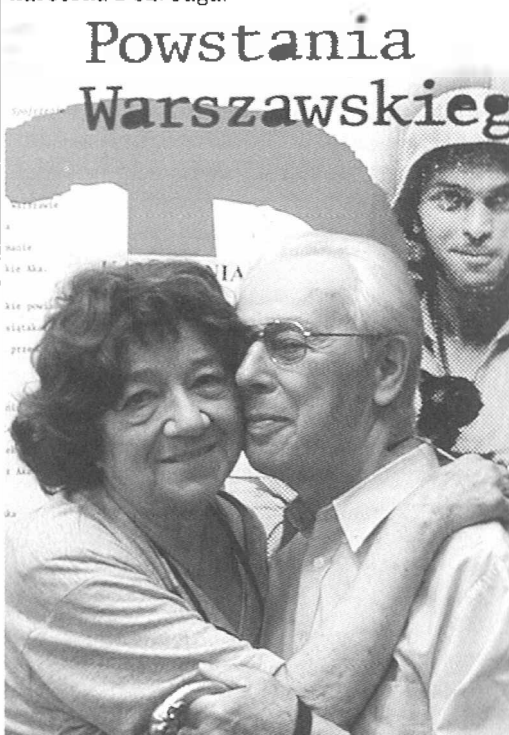
Po wydanym tu przyjęciu przemarsz na Plac Powstańców Warszawy. Decyduję się iść pieszo, ale trasa okazuje się wyczerpująca. Wychodzimy wśród pierwszych a docieramy do celu wśród ostatnich. Trudny marsz wynagradza wspaniały koncert i jego sceneria. Akcja na scenie pozwala prześledzić przebieg Powstania, jego najważniejsze momenty. Kto to przeżył wtedy, przeżywa jeszcze raz z tymi samymi wielkimi emocjami... Podium i Znicz Pamięci oraz ułożone na zakończenie przez uczestników znicze w barwach narodowych sprawiają we mnie wrażenie Wielkiego Ołtarza...

Następnego dnia jesteśmy na otwarciu Muzeum Powstania Warszawskiego, które poprzedziła Msza św. Tu wzruszający epizod. Nieopodal naszej delegacji stał

z piękną długą różą mężczyzna w średnim wieku. W panujący upał dzielił się z różą wodą, roznoszoną przez harcerzy. Gdy zaintrygowani „rytuałem” spyaliśmy go, dlaczego tę różę traktuje niczym przyjaciela, odpowiedział, że ona symbolizuje jego Ojca, powstańca, który tak bardzo czekał na tę rocznicę i... zmarł przed półtora miesiącem...

W obrębie Muzeum długi mur z niekończącą się i niezamkniętą listą poległych. Szukam znajomych. Niestety, mam trudności z ich odnalezieniem. (Jedyny mankament, jaki odnotowałam podczas całych uroczystości.) Na tę listę powinna trafić też w najbliższym czasie jedna z moich koleżanek, kurierka „Teresa”. Nie widnieje w żadnym znanym mi spisie, a wiem od innych powstańców, że poległa przy pomocy. Zgłosiłam jej dane w Biurze Organizacyjnym jeszcze pierwszego dnia. I ilu takich może jeszcze być...

Wieczorem uroczysty Apel Poległych na Placu Krasińskich. Jakże pamiętne to dla mnie okolice. Odżywają kolejne wspomnienia. Tu, w piwnicach Pałacu Krasińskich mieściła się nasza Kwatera, którą dzieliliśmy z „Parasolem”. Tu spotkałam moją drużynową z 62. drużyny. Tu przy zbiegu z Długą jest kanał, którym powstańcy ze Starówki ewakuowali się do Śródmieścia, w tym także ja. Po drugiej stronie wyciąga mnie z kanału inna harcerka z 62. Jaga.



Spotkanie z dawnym znajomym

O Henryku Sławiku raz jeszcze

W tych dniach na półki węgierskich księgarni trafiła książka Grzegorza Łubczyka „A lengyel Wallenberg”. Jest to węgierska wersja prezentowanej wcześniej naszym czytelnikom wydanej w Polsce w grudniu ubiegłego roku książki „Polski Wallenberg – Rzecz o Henryku Sławiku”. Jest to zarazem wydanie rozszerzone. Znalazł się w niej bowiem rozdział oparty na wspomnieniach bezpośredniej współpracownicy Prezesa Komitetu Obywatelskiego, Stefanii Pielok oraz wspomnienia kilku osób żyjących obecnie w Izraelu, dawnych mieszkańców Sierocińca w Vácu. Zorganizowane przez oficynę wydawniczą „Széphalom” 10 września br. w kinie „Urania” spotkanie promocyjne z autorem zostało uzupełnione projekcją zrealizowanego przez Grzegorza Łubczyka i realizatora TVP Marka Madisa filmu o bohaterze-opiekunie polskich uchodźców na Węgrzech pt. „Polski Wallenberg”, o którym wspomnienia ludzi osobiście go znających mówią wszystko. Poniżej zamieszczamy w całości nowy rozdział, choćby dla uzupełnienia sobie polskiej wersji przez tych, którzy znaleźli się w jej posiadaniu.

Stefania Pielok

referentka w Komitecie Obywatelskim



skiego natrafiłem w cytowanych wcześniej wspomnieniach „Rozbitkowie na Węgrzech”. Ich autor, Zdzisław Antoniewicz, napisał, że Stefania Pielok razem z grupą zaaresztowanych przez Niemców, m.in. z Camillą Mondral, sekretarką gen. Dembińskiego i Barbarą Czerwińską z Biura Antalla, po przesłuchaniach i pobycie w budapeszteńskim więzieniu przy ulicy Fő, zesłana została do obozu w Strasshof koło Wiener Neustadt. Czy go przeżyła, dowiedziałem się dopiero w kwietniu 2004 roku! Po publikacji Tadeusza Olszańskiego, poświęconej książkowym bohaterom „Polskiego Wallenberga” / „Choćby ulicę nazwać...” – „Polityka” z 24 kwietnia '04/, pani Stefania zadzwoniła do redakcji tygodnika. Natychmiast udałem się do jej warszawskiego mieszkania.

Stefanii Pielok, mieszkance Katowic, w końcu sierpnia 1939 roku zaledwie dwa miesiące brakowało do 21 lat. Mimo zbliżającego się zagrożenia nie chciała opuszczać rodzinnego miasta, a zwłaszcza ukochanej babci. Jednak jako osobę wciąż niepełnoletnią, opowiada, ojciec na siłę wsadził do ewakuacyjnego autobusu. Jego zapewnienie, że wróca za dwa tygodnie – jak się tylko uspokoi – oczywiście, nie sprawdziło się. Z pierwszych dni wojny najbardziej utkwił jej w pamięci warkot samolotów z czarnymi krzyżami, chaos na drogach i widok płonącego Drohobycza.

Po kilku dniach ucieczki zabrano im samochód. Część bagaży załadowali na jakieś furmanki i pod osłoną nocy, pieszo, przesuwali się o kolejne kilometry w nieznaną. W tej beznadziei, nagle, obok grupy zmęczonych piechurów, wśród których była Stefania z ojcem i jej macochą, zatrzymał się pusty autobus. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni i zaprosili do środka wyłącznie kobiety i dzieci. Ożywają wspomnienia. Stefania Pielok: – Oni nas uratowali! Coraz bliżej drogi, którą szliśmy, wybuchły pociski. Jeszcze dziś mam

Ruiny rodzinnego mieszkania

Sam Ratusz. Ożywa we mnie przykry dla mnie epizod udziału w Powstaniu. Mam zadanie przekazać informację por. Kalinowskiemu w Pałacu Blanka. Wyruszę z Ratusza w ciemnościach i kierując się za światłem w oddali wpadam do powinicy wśród gorejące jeszcze zgłiszczą jakiegoś budynku. Gorący popiół okalecza mnie na trwałe, ale wiadomość doniosłam i wróciłam na Ratusz. Obecny jest pięknie odbudowany, ale nieco inny. Niby ta sama bryła, ale inna, nie ma już dwóch bram tylko jedną.

Powązki, Kwatera Gozdowiaków. Rozglądam się i czytam nazwiska znanych mi ludzi. Z V Kompanii nikogo nie dostrzegam, nikogo nie rozpoznaję. A przecież jeszcze kilkanaście lat temu, na sierpniowych pielgrzymkach powstańców do Częstochowy było nas sporo... Naturalnie, skoro tu jestem udaję się jeszcze na Stare Powązki, na grób moich rodziców.

Dla mnie każdy krok po Warszawie jest przeżyciem. Jest tu tyle miejsc tak mi bliskich, że obecnie nie starczyło czasu nawet na te najważniejsze. W wolnym czasie dotarłam w zasadzie tylko do jednego, do „Przytuliska” czyli kaplicy szkolnej przy Wilczej, do której chodziliśmy my, uczennice Szkoły Kurmanowej. Nie dotarłam, choć byłam blisko, do naszego domu przy Freta, który podzielił los ogromu innych – legł w gruzach. I nie dotarłam do wielu wielu innych miejsc, a tak bym chciała. Przecież ostani raz byłam tu 15-16 lat temu. Dlatego wyjeżdżałam z Warszawy z uczuciem wielkiego wzruszenia i niedosytu zarazem.

Notował: Jerzy Królikowski ■

■ Sławik szeroko rozłożył ręce i niczym ptak wzbił się w powietrze. Szybując, nadleciał nad aleję dorodnych drzew. Te zaś, gdy się zbliżał do ich wierzchołków, kolejno, para za parą, kłaniały mu się, a następnie zamieniały w długi, zielony dywan – taki sen miała Stefania Pielok w austriackim obozie pracy w końcu sierpnia 1944 roku.

Mówi, że ten przesłany znak z Nieba wciąż dobrze pamięta, choć od tamtej nocy już upłynęło sześćdziesiąt lat. Obozowa wróżka – gdy poznała sen Stefanii – stwierdziła, że bohater jej opowieści to na pewno dobry człowiek. Za wszystko zaś, co uczynił innym, spotka Go nagroda. Złe przecucie jednak ją nie opuszczało. Z prawdziwym lękiem jeszcze zapytała, czy aby coś mu się nie stało? Jak później sprawdziła chronologię zdarzeń, Szef jej się przyśnił w dniu swej śmierci. I jak tu nie wierzyć snom?

Na imię i nazwisko tej oddanej Sławikowi pracownicy biura Komitetu Obywatel-



Wśród uchodźców

w uszach tamte serie i pojedyncze wystrzały. Piekło! Z okolicznych wzgórz liczni snajperzy, prawdopodobnie ukraińscy, nie tylko do żołnierzy, idących z nami w rozproszeniu, strzelali jak do kaczek! Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że te dwa troskliwe Anioły, które podstawily nam samochód to... Henryk Sławik i jego szwagier. Dowieźli nas do granicy węgierskiej, a po jej przekroczeniu, rozlokowali na odpoczynek w pierwszej z napotkanych wiosek.

Tęgawego mężczyznę z tamtego pustego autobusu Stefania spotkała po raz drugi kilka miesięcy później. Stało się to w Budapeszcie. Jakież było jej zaskoczenie, gdy się dowiedziała, że jest on prezesem Komitetu Obywatelskiego. Nim do niego dotarła, dużo przeszła. Po rozstaniu się z ojcem zamiast pod opiekę siostr zakonnych przez pomyłkę trafiła do domu poprawczego. Tu przez wiele tygodni robiła czapki i rękawiczki dla idących na front żołnierzy węgierskich. Po nieudanej próbie dotarcia do Antalla wyprosiła odesłanie jej do ojca, który przebywał w jednym z obozów na prowincji. Ten zrećnie wymyślony plan wyrwania się z towarzystwa dziewczyn z ulicy powiódł się. Gdy tylko odprowadzająca ją siostra zakonna wysiadła z wagonu i znikła na peronie, nim ruszył pociąg to samo uczyniła Stefania. Nie bacząc na budapeszteńskie odległości, po wielokilometrowym marszu, pytając kilka razy o ulicę Gézy, dotarła w końcu do siedziby Komitetu Obywatelskiego nieopodal Parlamentu.

Pierwszą osobą, którą tu spotkała, był jeden z dwóch mężczyzn z owego autobusu, ten szczuplejszy. Przyznaje, że już wcześniej, w drodze na Węgry, wpadł jej w oko. Nie ucieszyła się, gdy powiedział, że szykuje się do wyjazdu do Anglii. Obiecał wstawić się za nią u Szefa, co uczynił. Dzięki temu zamieszkała w willi węgierskiej hrabiny, która oddała swój dom na

potrzeby kilku Polek. Razem z nimi uczyła się angielskiego i węgierskiego, bo niemiecki znała. O losie panny Stefani zdecydowały jednak nie języki obce, lecz maszynopisanie //, którego umiejętność w bardzo dobrym stopniu posiadała w 9-klasowej śląskiej Szkole Wydziałowej. Bez żadnej protekcji, podkreśla, stanęła do konkursu i wygrała go. W jej tekście nie było błędów, całość opatrzyła ładnymi marginesami. To jej otworzyło drogę do pracy w biurze Komitetu Obywatelskiego u samego Sławika.

Co robiłam – powtarza moje pytanie. Wszystko! Parzyłam kawę i piekłam ciasteczka według starych receptur śląskich dla Pana Prezesa i jego gości. Najwięcej pisałam na maszynie. Z czasem zaczęłam przygotowywać niektóre odpowiedzi listowne Szefa, zgodnie z jego sugestiami. Wreszcie powierzył mi kancelaryjny nadzór nad korespondencją Komitetu z zagranicą w języku polskim.

Do dziś nie wiem, co sprawiło, że obdarzył mnie, młodą dziewczynę, takim zaufaniem – kolejny raz Pani Stefania stawia sobie to pytanie. Czy to, że byłam z bliskiego mu Śląska? Przez moje ręce przechodziły najbardziej tajne pisma i dokumenty! Gdy na wiele miesięcy został internowany i wywieziony z Budapesztu to również ja w jego imieniu jako „Stefan Pielok” pisałam listy do Jadwigi Sławikowej, oględnie ją informując o sytuacji męża.

Tylko nie bądź za ciekawa, mawiał. Najpierw często, a później rzadziej, lecz wciąż pytał, czy jeszcze pamiętam, co przed chwilą pisałam? Nie, odpowiadałam, już zapomniałam. To dobrze, im mniej wiesz w niektórych sprawach, tym lepiej, powtarzał. I jak się w marcu i w następnych miesiącach czterdziestego czwartego roku okazało, miał świętą rację. Gdy mnie Gestapo przesłuchiwało, nie musiałam udawać, ani kłamać. Ja rzeczywiście nie pamiętałam!

Sławik również wyznawał głoszone przez siebie zasady i mądrości. I choć jako Szef mógł, to jednak nie wydobywał z nas, swych pracowników, ani rodzinnych, ani osobistych tajemnic i informacji. Pan Prezes z natury swej nie był człowiekiem ciekawskim!

Pełen dyskrecji styl pracy obowiązywał zresztą każdego pracownika Biura Komitetu Obywatelskiego. Doskonale wiedział o tym Antall, który nawet w swoim urzędzie nie czuł się bezpiecznie. On też miał wrogów. Gdy więc chciał coś załatwić ze Sławikiem i szczerze z nim porozmawiać, przyjeżdżał na Gézy 3 i to często. Tu nikt im nie przeszkadzał i nikt ich nie podsłuchiwał.

Zachowanie Antalla wskazywało, że dobrze się wśród nas czuł. A jak mu smakowały moje słodkie wypieki – wspomina z dumą Pani Stefania, której nagle jakby ubyło lat. Nim wszedł do pokoju Szefa zawsze pytał, czy zaparzę taką samą kawę jak poprzednio? Tajemnica tej mojej małej czarnej polegała na tym, że kupowałam zielone ziarna kawy i sama je opiekalam. Byłam szczęśliwa, że mogłam choć tyle zrobić dla tak wspaniałego Człowieka! Prawdą jest, że traktował mnie bardzo serdecznie, a zwracał się per „Tatarko”. Przypominałam mu dziewczynę, jaką w czasie I wojny światowej spotkał we wschodniej Galicji, gdzie został ranny i dzięki opiece Polaków przeżył. Dawne wspomnienie na pewno dodawało mu sił w niesieniu pomocy nam, uchodźcom z Polski.

Raz mnie jednak Antall zdenerwował – mówi pani Stefania. Wyszedł z pokoju Sławika i przekomarzając się ze mną, nagle powiedział, że gdy tylko wojna się skończy szybko o nim zapomnę. O, nie – wyrzuciłam z siebie – nigdy! Nie wiem, co się wydarzy, ale ja Pana Doktora znajdę wszędzie!

I słowa dotrzymała, choć dopiero po 30 latach. Najpierw czasy stalinowskie, a potem „pięćdziesiąty szósty” nie sprzyjały kontaktom ludzi, których zbliżyły wojenne nieszczęścia. Potem długo nie mogła zdobyć adresu do Człowieka, usuniętego w głęboki cień za opiekę nad „polskimi burżujami”. W 1974 roku wreszcie wpadła na trop. Udało jej się uprosić jednego z ówczesnych polskich dyplomatów, by łaskawie zechciał ją zaanonsować Antalowi, adresu którego aż do spotkania w jego towarzystwie nie zdradził.

Gdy Pan Doktor tylko mnie zobaczył, w drzwiach zawołał „Tatarka” i powitał więcej niż serdecznie, co aż zaskoczyło mojego „Anioła Stróża” – opowiada Pielok. Za plecami Gospodarza zobaczyłam Panią Antallową, Edith, córkę i Józsefa, syna, późniejszego premiera Węgier. Pani Domu wręczyłam kwiaty, a wzruszonemu Panu Doktorowi – piękny cepeliowski plater z polskim orłem. Długo wpatrywał

się w nasze godło narodowe. Dotykał je palcami i przez pewien czas wydawał się być nieobecny. Pomyślałam wtedy, że może znów jest u Sławika, pije moją kawę i smakuje moje ciasteczka... Gdy następnie położyłam przed nim zdjęcie Prezesa Sławika, wziął je w ręce, zaszklify mu się oczy, czego nie krył i wypowiedział tylko dwa słowa: „Henio, Henio !” Ileż ich łączyło !

Na tym pierwszym po wojnie spotkaniu w maju 1974 roku umówiła się z Panem Doktorem – jak się do Gospodarza zawsze zwracała – na jesień, już bez pośredników. W lipcu, niestety, zadzwoniła z Węgier Pani Antallowa. Stefania znów pojechała do Budapesztu, by na cmentarzu Farkasréti na świeżym grobie z napisem „POLONIA SEMPER FIDELIS” położyć wiązaną kwiatów. Doktora Antalla jednak nie zapomniałam – podkreśla Pani Stefania w końcu kwietnia 2004 roku, gdy rozmawiamy – i nigdy nie zapomnę !

Nigdy też nie zapomnę Sławika. Obaj byli ludźmi wyjątkowymi, z klasą. Wiedziałam, że gdy znajdę się w potrzebie oni mnie nie zostawiają, że w każdej sprawie mogę się do nich zwrócić. I to nie na zasadzie „coś za coś”, tylko z serca. Sławik nie siebie, lecz drugiego człowieka stawiał na pierwszym planie. Tak samo postępował Antall. Gdzie są dziś tacy ludzie? W swoim życiu podobnych do nich już więcej nie spotkałam.

Prezes Sławik był tolerancyjny, ale nie w pracy – mówi pani Stefania. Nie tolerował spóźnień, braku solidności, o nieojalności nawet nie wspomnę. Od siebie bardzo dużo wymagał i chciał, ażebyśmy postępowali podobnie. Cenił inicjatywę, rzetelne wykonywanie powierzonych obowiązków, ofiarność. Gdy ktoś zasłużył, dostrzegał to i chętnie mu dziękował. W jego pojęciu dyscypliny było jednak miejsce na słowa: „Ciężko pracowaliście. Robimy

przerwę, a ja zapraszam wszystkich na dobry obiad na Svábhegy!” To jedno z piękniejszych wzniesień w górzystej Budzie.

Stefania Pielok: – Często mi powtarzał: kto jakim jest człowiekiem nie decyduje jego pochodzenie, wykształcenie, ani jego religia. W Komitecie Obywatelskim na odpowiedzialnych stanowiskach również pracowali Polacy żydowskiego pochodzenia, co mu nie przeszkadzało. Nie wszystkim się to podobało, a nawet przysparzało mu wrogów. Wiedział o tym i z pewnością dużo zdrowia go to kosztowało, ale jako człowiek z charakterem nie ulegał podszeptom, ani naciskom, które prowadziłyby do krzywdy jakiegoś uchodźcy.

Byli wśród nich i tacy, którzy tylko czekali na potknięcie Sławika. Gdy w 1941 roku węgierskie władze dla pozorów aresztowały Pana Prezesa kilku chętnych już się szykowało na jego miejsce. Antall jednak na to nie pozwolił. On też czuwał, by znajdujący się w jednym z obozów Sławik mógł stamtąd nadal kierować pracami Komitetu. Byłam osobą kontaktową – mówi pani Stefania. Węgry wydali mi przepustkę na wyjazd z Budapesztu, pozwolili zatrzymać się w miejscowości nieopodal miejsca internowania Sławika i po przejściu wskazanej mi dziury w ogrodzeniu docierałam do naszego Szefa. Dzięki instrukcjom, z jakimi wracałam, Biuro KO mogło jakoś funkcjonować. Podobny manewr zastosowano, gdy Sławika przeniesiono do innego obozu. Czy to mogło się dziać bez dyskretnego nadzoru Antalla ?!

A czy pan wie – pyta mnie „Tatarka” – że po założeniu sierocińca w Vacu jakiś złośliwiec nazwał prezesa Sławika „królem żydowskim”? Tymi dziećmiakami rzeczywiście bardzo się interesował, gdyż dobrze wiedział, co one, biedne, przeszły. Traktował je ciepło i życzliwie. Nie znaczy to, że polskimi mniej się zajmował. Od chwili powstania Komitetu Obywatelskiego w 1940 roku opieka nad najmłodszymi i młodymi Polakami należała do najważniejszych zadań naszego Biura, a polegała na zapewnieniu im jak najlepszych warunków do nauki. I takie przy pomocy Urzędu Antalla stworzono nie tylko w słynnym Balatonboglárze, ale w wielu innych węgierskich miejscowościach. Jeździłam czasem do mojej przyjaciółki, która w Vacu była jedną z nauczycielek sierot z Polski. Jakże one były wdzięczne, że je ktoś przy-

garnął. Ich spokojne, by nie powiedzieć szczęśliwe miesiące, niestety, skończyły się w marcu czterdziestego czwartego roku, gdy hitlerowcy zajęli Węgry.

Myślę, że ten normalny stosunek do Żydów Pan Prezes wyniósł ze Śląska – mówi Stefania Pielok. Jak pamiętam, z Katowic jeździło się na zakupy do Będzina i Sosnowca, które przed wojną nazywano żydowskimi miastami. U Żydów było najtańiej, a w niektórych sytuacjach towar dawali na tzw. kredę. My chodziliśmy do kościoła, oni do synagogi. Czy to jest powód, by krzywo na siebie patrzeć? Wciąż mam w uszach przejmującą grę żydowskiego skrzypka z Krakowa w katolickim kościele na nabrzeżu dunajskim w Peszcie. Po jego „Boże coś Polskę” i „Ave Maryi” zarówno polscy uchodźcy, jak i Węgry, wszyscy, wzruszeni płakaliśmy. On grał Panu Bogu. Ponieważ ten muzyk urodził się Żydem to ja mam żywić do niego nienawiść? Od kiedy poznałam Sławika staram się być w zgodzie z Jego zasadami, które mi wpajał. Pan Prezes mawiał: „Ludzi można podzielić na dobrych lub złych. To wszystko”.

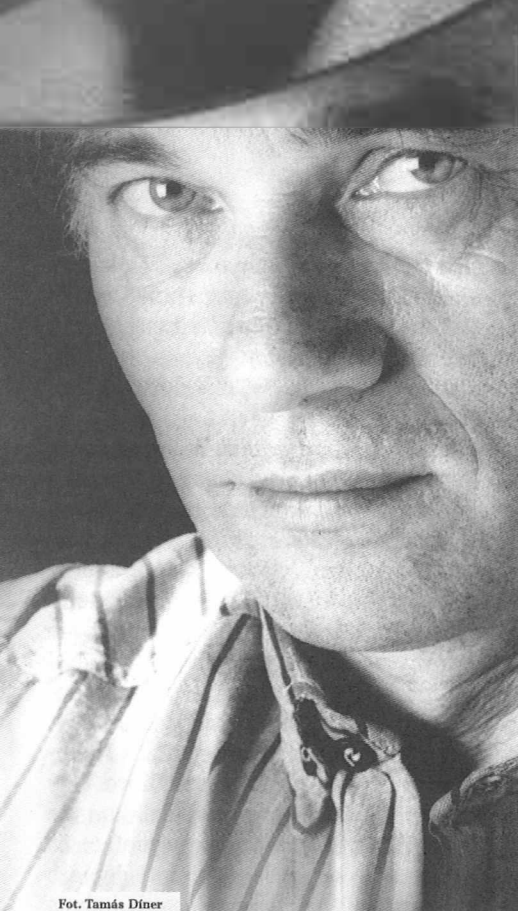
Stefania ostatni raz widziała swego Szefa w Biurze Komitetu w sobotę 18 marca 1944 roku. Wtedy ani ona, ani pozostali pracownicy Sławika nie wiedzieli, że następnego dnia ich skromna siedziba przy Gęzy 3 potraktowana zostanie przez Niemców jako jeden z głównych w Budapeszcie obiektów o strategicznym znaczeniu! W poniedziałek, 20 marca – wspomina – jak zawsze udałam się do pracy. Dozorczyni, którą spotkałam, wyszeptwała: „Niemcy” i wzrokiem wskazała nasze Biuro. Gdy ktoś obcy mi otworzył, powiedziałam, że się pomyliłam. Chciałam się wycofać. Za późno. Na siłę mnie wciągnięto i dopiero wtedy zobaczyłam, że nie jestem jedyną aresztowaną. Niemcy rozkazali mi odbierać telefony i mówić, że Biuro normalnie działa. Chcieli w ten sposób zwabić jak najwięcej działaczy uchodźczych. Kilka osób udało mi się ostrzec.

Po wielu przesłuchaniach i pobycie w budapeszteńskim więzieniu przy ulicy Fő, Stefania Pielok na początku czerwca '44 została wywieziona do Austrii na roboty. Po zakończeniu wojny, nim wróciła do Polski, do 1948 roku pracowała w wiedeńskiej Delegaturze do Rewindykacji Majątku Polskiego.

Za sprawą wnikliwej penetracji i pełnego zaangażowania b. ambasadora RP na Węgrzech, Grzegorza Łubczyka Henryk Sławik rzeczywiście zaczął żyć „życiem wspomnień”. Oprócz przytoczonych tu dwóch pozycji książkowych Telewizja Polska zrealizowała wspomniany na wstępie 50-minutowy film dokumentalny, bogato rysujący sylwetkę i dokonania tego szlachetnego człowieka, prawdziwego i do tej pory niedocenianego bohatera lat niemieckiej okupacji. Cieszy nas, że po pokazie filmu w Pałacu Prezydenckim w przededniu 65. rocznicy napaści hitlerowców na Polskę uhonorowano go nadając mu pośmiertnie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.



Ryszard Kruza SZUKAM LOGICZNEJ ABNORMALNOŚCI



Fot. Tamás Diner

■ Wielkim wydarzeniem dla naszej polonijnej społeczności był w 1997 r. w Stowarzyszeniu Bema występ znakomitego polonijnego artysty muzyka Ryszarda Kruzy, którego János Gonda, dyrektor Akademii Jazzu przedstawił wówczas jako najwybitniejszego wibrafonistę Europy. Nieco wcześniej grę jego i jego zespołu mogła podziwiać nasza młodzież w sali koncertowej przy ul. Akademii. Było to możliwe dzięki aktywnie wówczas działającemu Forum Twórców Polonijnych. Wraz z upływem lat i zmieniających się warunków w życiu węgierskiej Polonii działalność Forum przygasała, ale artyści w dalszym ciągu tworzą. Najbardziej widocznymi są może jeszcze artyści-plastycy, którzy od czasu do czasu eksponują swój artystyczny dorobek w różnych zakątkach i miejscach kraju.

– Ryszardzie, a Co z Tobą? Od dawna nie spotkaliśmy się, mimo że jak mi kiedyś powiedziałeś, brak Ci polskości, szczególnie w sferze intelektualnej i mentalnej, że nieustannie żyjesz nostalgią za Polską?

– To prawda. Im jestem starszy, tym bardziej się ona potęguje. Z Węgrami jestem związany na dobre i na złe. Tu mieszka mój syn Richard ze swoją rodziną, moja żona Kati i wreszcie większość moich przyjaciół, znakomitych muzyków. Na razie jednak o występach muzycznych i o spotkaniach z Polonią nie mogę nawet marzyć ze względu na poważną operację, którą nie tak dawno przeszedłem i proces dalszego leczenia. Chcę jednak wierzyć, że los będzie dla mnie łaskawy i zagram jeszcze na wibrafonie. Był on zawsze moją największą fascynacją i dziś widzę, że i przeznaczeniem. Jego brzmienie zahipnotyzowało mnie jeszcze w dzieciństwie, a brak dostępu do niego wzniecał rozbudzoną ciekawość. Była wojna, nie miałem zabawek i całe dnie spędzałem na rysowaniu lub słuchaniu płyt, które były w domu. Wcześniej zacząłem pobierać regularne lekcje fortepianu ponieważ matka była pianistką i w rodzinie wszyscy uczyli się muzyki. Nie lubiłem jednak muzyki klasycznej, wszelkie rytmy natomiast wywoływały we mnie natychmiastowe ekscytacje. Odkryłem więc rychło źródło, które pozwoliło mi słuchać rytmicznej muzyki na co dzień: „Music U.S.A.” Willisa Canowera, co trwało przez okres całej szkoły średniej. Wtedy też na fortepianie zacząłem samemu szukać bliskich mi brzmień. Kiedy jako student architektury Politechniki Gdańskiej trafiłem do Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”, gdzie zetknąłem się z takimi artystami jak: Komedą, Cybulski, Namysłowski, Kobiela, Niemen etc. porwała mnie fala rodzącej się nowej myśli. W budynku klubu znaleźliśmy na strychu stary wibrafon, na którym zacząłem grać. Tak zaczęła się moja edukacja jazzowa – autentyczna, bowiem rodziła się w samej grze i najwłaściwszej dla jazzu atmosferze.

– Już właściwie od wczesnej młodości zajmowałeś się muzyką, dlaczego więc postanowiłeś studiować architekturę, a nie poszedłeś do Akademii Muzycznej?

– Zrobiłem to tylko dla rodziców, a że umiałem rysować na Politechnikę Gdańską dostałem się już za pierwszym podejściem. Ale ukończyłem ją dopiero po 10 latach w 1967 r., bo jak już wcześniej wspominałem, zafascynowany byłem tylko wibrafonem.

– A może przypomnisz nam co to jest wibrafon, gdyż na pewno nie wszyscy nasi czytelnicy znają ten instrument..

– Wibrafon jest instrumentem wynalezionym w Ameryce, gdzie cieszy się dużą popularnością i jest stosowany praktycznie we wszystkich współczesnych stylach muzycznych. Gra na nim polega na uderzaniu metalowych sztabek odpowiednimi pałkami, podobnie jak na europejskim ksylofonie. Różnica między tymi instrumentami polega głównie na tym, że klasyczny wibrafon jest zelektryfikowany i posiada o wiele bogatsze brzmienie.

– W Gdańsku dałeś się poznać nie tylko jako wykonawca muzyczny, ale i twórca....

– Poza „Żakiem”, którego zakres i rewolucyjność można porównać jedynie z rolą jaką odegrała „Piwnica” krakowska (wszystkimi jego aspektami zarówno kulturowymi jak i socjologicznymi zajmuje się szczegółowo wydana w Gdyni w 1968 r. książka Andrzeja Cybulskiego pt. „Pokolenie kataryniarzy”), występowałem również w kabaretach „Bim-Bom”, „To-Tu”, „Co-To”, pisząc także dla nich muzykę. Założyłem pierwszy swingowy zespół, potem kierowałem wieloma innymi zespołami, z których najbardziej znanym był „North Coast Combo”. Grał w nim m.in. Włodzimierz Nahorny. Mieliśmy zaszczyt grać jako pierwsi koncert jazzowy w Filharmonii Bałtyckiej, co było prawdziwym precedensem: W tamtych czasach wprowadzenie jazzu w mury Filharmonii miało wymiar historyczny. Do takiego wyróżnienia potrzebny był prestiż w środowiskach klasycznych. Jeden z profesorów Gdańskiej Wyższej Szkoły Muzycznej po koncercie łapał się za głowę i mówił: „O Boże, grali pełne dwie godziny i całkowicie bez nut...!”

– Jakie były Twoje kontakty ze środowiskiem krakowskim?

– Jeździłem tam wiele razy na jazzowe zaduszki krakowskie oraz z gdańskimi kabaretami. Ale moim faktycznym kontaktem z Krakowem był Piotr Skrzynecki, którego poznałem dzięki Ewie Demarczyk. A z nią spotkałem się na Festiwalu w Opolu i już od pierwszej chwili urzekła mnie jej wyjątkowa osobowość. Uosobiła wszystkie ideały naszego pokolenia. Zainteresowanie to rozszerzyło się prędko na wszystkie



obszary jej kobiecości. Nawet po naszym rozejściu się starannie pielęgnowałem kontakt ze Skrzynieckim.

Regularnie odbywały się spektakle „Jazz, poezja” i masa innych przedstawień, gdzie jazz grał zasadniczą rolę. Zdobyłem szereg nagród i wyróżnień na różnych festiwalach jazzowych i teatralnych, m.in. I miejsce jako solista oraz I miejsce w kategorii zespołów na festiwalu jazzowym we Wrocławiu w 1964 r.

Skomponowałem muzykę do sztuki Stanisława Różewicza „Ludzie, ludzie”.

– A jak znalazłeś się na Węgrzech?

– Przyjechałem tu w 1968 r. dzięki małżeństwu ze znaną węgierską piosenkarką Ewą Kárpáti, z którą mam syna Richárda., również muzyka, kierownika znakomitego zespołu „Eurosalsa”. Z moją przeszłością artystyczną bez trudu otrzymałem stanowisko wykładowcy na wydziale jazzu w konserwatorium im. Béli Bartóka, później w Akademii Jazzu Tibora Csepeiego.

Istniała wówczas diametralna różnica w pojmowaniu jazzu jako formy życia między Polakami i Węgrami, i ja, obok programowego nauczynia podjąłem natychmiastową walkę na śmierć i życie, zwalczając choroby nie pozwalające młodym Węgom „otworzyć się” w czasie gry i osiągnąć stopień wolności wewnętrznej niezbędnej do grania. Doświadczałem gigantycznych satysfakcji widząc rezultaty mojej dywersyjnej roboty.

W 1976 r. otrzymałem propozycję zrekonstruowania i modernizacji systemu nauczania w Studium Państwowego Ośrodka Muzyki Rozrywkowej w Budapeszcie, co wymagało zwolnienia z pracy połowy wykładowców i dlatego jej nie przyjąłem.

– Byłeś już uznanym w Polsce artystą, nie mogła Cię zatem zadowolić tylko praca pedagogiczna...

– Występowałem ze światowej sławy kontrabasistą węgierskim Aladarem Pege, z którym odbyliśmy tournée po Europie i całej Polsce, następnie z Jánosem Gondą założyliśmy Gonda – Kruza Quartet, który zdobył II miejsce na Festiwalu Jazzowym ALBA REGIA w 1970 r. w Székesfehérvárze. Potem działał zespół Richárd Kruza Quartet, który występował w większości krajów Europy i w Stanach Zjednoczonych.

Od 1972 r. przebywałem z rodziną przez kilka lat w Kanadzie, gdzie prowadziłem zespół Body & Soul, aranżowałem dla radia w Toronto, a w „Toronto Talent Agency” prowadziłem próby orkiestrowe. Stopniowo coraz bardziej wciągała mnie amerykańska muzyka pop, której jest pełen cały program radiowy. Zacząłem odczuwać piękno brzmień klasycznych, smyczki... W tym czasie pojawił się zwiastun nowego: syntetyzator. Zacząłem intensywnie się nim zajmować. Związana z nim muzyka Funky była dla mnie ogromnym odświeżeniem po zawiłościach muzyki



Coltrane, w której siedziałem po uszy i która w rezultacie obciążała mnie ogromem problemów filozoficznych.

– Czy w tym czasie nie grałeś już jazzu?

– Coraz rzadziej. Studiowałem wtedy aranżację i sonorystykę, ale dźwięk wibrafonu pozostał we mnie i nie mogłem się od niego uwolnić. Ucząc się przy okazji praw syntezy dźwięku zacząłem sobie zdawać sprawę do czego klasyczny wibrafon jest zdolny, a do czego nie.

– Po poważnym wypadku samochodowym musiałem porzucić instrument i zająłem się pisaniem muzyki dla radia, TV, teatru. Sztuka pantomimy Eugene’a Jonesa pt. „Śmierć króla” z moją muzyką była wystawiana wielokrotnie na różnych festiwalach w wielu krajach. Po powrocie z Kanady wróciłem do Polski, gdzie byłem kierownikiem muzycznym gigantycznego cyklu „Live” zatytułowanego *Wieloboje gwiazd* w polskiej TV. Prowadził go mój ówczesny menedżer Wiesław Dąbrowski i los pozwolił mi na nowo pracować z towarzyszem lat młodości Wowo Bielickim – głównym reżyserem programu. Byłem również kierownikiem muzycznym przybyłego ze Stanów „Klenczon Show”. Wydaliśmy wówczas płytę *Powiedz stary, gdzieś ty był*.

– A jakie jeszcze ważniejsze płyty CD mógłbyś nam przypomnieć?

– „Oui” z Namysłowskim, „Take”, „Arkain” z Miltem Jacksonem, „Vibes Unlimited” – Richard Kruza Quartet, CD zawierające wybrane pozycje z kompozycji-aranżacji na różne międzynarodowe Big-Bandy, na wibrafon, dla Aladára Pege czy European Broadcasting Union.

Wyliczanie ilości płyt, a szczególnie CD traci dziś sens w obliczu łatwości z jaką są produkowane. Mam ich może ze 40, a może 50. Było to możliwe i dzięki temu, że moja druga żona Katalin Kovács była reżyserem w radiu węgierskim i automatycznie ja sam również większość czasu spędzałem w studiach, mając multum okazji do nagrywania wszelkiego typu orkiestr.

Naturalnie mogłem nagrywać dużo więcej, ale uparłem się przy ideologii polegającej na totalnym odcięciu się od wszystkiego, co wymagało czasu dla popularyzowania swojej osoby, czy miało przynosić pieniądze.

Piękno zawarte w poszczególnych sztukach, a szczególnie w muzyce, oddziaływało na mnie z taką siłą, że śmieszne wydawały mi się rozmowy telefoniczne na temat organizowania czegośkolwiek lub o tym, ile można wydusić z faceta za koncert. Praktyczne rzecz biorąc drażniło mnie wszystko, co odrywało mnie od tematów dla mnie istotnych.

– To znaczy?

– Moją dewizą było, by robić jedną rzecz, ale dobrze. A tą jedną rzeczą był wibrafon. Nie mogłem mu się jednak całkowicie poświęcić. Jak już z naszej rozmowy wynika życie zmuszało mnie do gry na fortepianie, aranżacji, komponowania, pracy pedagogicznej, pisania książek.

Jak już wspominałem jeszcze w Kanadzie zacząłem się zajmować syntetyzatorem, o którym wraz ze swym uczniem Gáborem Banyim napisałem książkę *Syntetyzator w praktyce muzycznej*. Na zlecenie Jánosa Gondy powstała książka *Analiza aranżowania*. Jestem ponadto autorem książki *Szkoły na wibrafon i Frazeologia i psychologia improwizacji*.

Pisanie zarówno książek jak i muzyki było dla mnie pracą uboczną. Pragnąłem być wirtuozem, pozostać przy instrumencie... Zaczął mi się marzyć „nadwibrafon” doskonały, instrument który pozostając wibrafonem potrafiłby dużo więcej zachowując pełnię mocy w nowej rzeczywistości muzycznej. Wtedy zacząłem konkretną pracę nad rozbudowywaniem wibrafonu od stóp do głów. W tym okresie sformułowałem swoją pierwszą doktrynę dźwiękową. Obecnie po około 30-letniej pracy już jest ukończony mój wibrafon o totalnie zmodyfikowanym, indywidualnym systemie artykulacji, wibracji i modyfikacji tonu. Nie byłoby to jednak możliwe bez współpracy z Ferencem Böröczem. To on jest właśnie tym człowiekiem, który dokładnie zrozumiał moje intencje i posiadając prócz inżynierskiego przygotowanie muzyczne potrafił nadać tej części koncepcji realną postać. Idąc drogą wyznaczoną przez moją doktrynę brzmieniową nie tylko zrealizował większość jej postulatów, ale w kilku przypadkach stał się autorem własnych rozwiązań brzmieniowych wzbogacając tym jej kształt.

– Wracając jednak do Ciebie, jak długo trwała ta praca?

– Właściwie całe życie.

– Jaki rodzaj siły napędowej wyzwała takie energie?

– Myślę, że typ natury, bo energie, chociaż różne, są w każdym z nas. Mój typ polegał na kolejnym egzaltowaniu się każdą nowością i zawsze tylko wówczas, kiedy poprzedni temat nie został poznany do samego końca. Poznany przestawał być fascynujący i odchodził jak miłość, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Potem przychodziła nowa egzaltacja. Jedna rzecz tylko nie zmieniała się nigdy: cały czas szukałem tego brzmienia wibrafonowego, które było we mnie, ale nie było go w wibrafonie.

– Czy nigdy nie myślałeś o porzuceniu wibrafonu?

– Ciągłe. Niemożność podjęcia takiej decyzji zaczęła być chorobą. Wibrafon klasyczny definitywnie przestał mi wystarczać do wyrażenia siebie. Mało tego. Zaczęła mnie męczyć cała muzyka jako taka. Nie potrafiłem już w niej znaleźć nic nowego, poczułem się jak w próżni. I wtedy przyszło z pomocą słowo. Zauważyłem na nowo jak dalece można się delektować słowem. Stwierdziłem np. że Tuwim to dokładnie jak jazz.

– Czyli nastąpiło czytanie zamiast słuchania...

– No nie, to byłoby absolutnie bierne. Doznałem olśnienia, że słowo można wmontować w dźwięk. Nie jakieś tam spektakle typu *Jazz i poezja*, co robiliśmy 30 lat temu w „Żaku”. Dosłowne wmontowanie słowa w dźwięk płytki wibrafonowej. Monolit. Stop doskonały.

– Tego nie da się wypowiedzieć, jak nie da się opowiedzieć o kolorze. Kolor można namalować i zobaczyć. Zresztą powiedziałbym za dużo.

– Dobrze. Wróćmy zatem na ziemię. Wiemy dużo o Twoich sukcesach zawodowych. A czy odnosiłeś również większe sukcesy finansowe?

– Kilka razy. Z reguły jednak nie. Prawidła koniunktury nigdy mnie nie interesowały, zawsze oddawałem się pasji. Wyznałem zasadę wpojona mi w młodości, że każda sztuka jest sakralna: jako taka nie zna pojęcia zysku materialnego. Nagradzanie jest przywilejem Boga. Należy wierzyć w jego nieomyślność.

– Czy jesteś usatysfakcjonowany ze swego życia?

– Mimo niezakończenia kilku ważnych spraw jako artysta czuję się spełniony. Wiele rzeczy należało robić inaczej, więcej kierować się zdrowym rozsądkiem, mniej instynktem, ale może się myłę?... Żyłem zbyt intensywnie.

– Czy często czułeś się zmęczony?

– Nigdy. Po prostu upadałem w pewnej chwili lub wzmacniałem się jakimiś środkami. Zmęczenia nie czułem, byłem zawsze podekscytowany, bo robiłem zawsze to, co chciałem. Żałowałem czasu na spanie, jedzenie.

– Jak długo można tak żyć?

– Jak długo? Zależy od zdrowia. Ja zapłaciłem już parę razy. Ale jak dotąd jestem z grubsza w całości. Wycieńcza mnie myślenie, granie jazzu odmładza. W Kanadzie grałem w trio. Non-stop streap-tease Show od czternastej w południe do drugiej w nocy. 45 minut muzyki, 15 minut przerwy z godziną wolną na obiad. Zmęczenie zaczynałem odczuwać dopiero koło pół-

nocy. Szczęśliwy byłem cały czas. Pierwszą tajemnicą udanego życia jest robić to, do czego się urodziło. W ten sposób praca przestaje być pracą.

– A jeśli się nie urodziło do niczego?

– Należy nic nie robić. Mam takiego serdecznego przyjaciela w Polsce, który nic nie robi. Bardzo wiele nauczyłem się od niego, więcej niż od wielu takich, co dużo robią.

– Jesteś zlepkim przeciwieństw. Czym jesteś najbardziej?

– Granie jest dla mnie całkowicie automatyczne i naturalne. Projektowanie mojego wibrafonu było chyba najtwardszą próbą charakteru i w lwiej części przeciwną mojej naturze. Ale projektowanie też lubię, byle nie za dużo. Wibrafon, aby doprowadzić go do doskonałości, wymagał projektowania mniej więcej dziesięć razy więcej, niż mogłem podołać. Po prostu najbardziej jestem grajkiem.

– Jakie inspiracje pomagały ci w życiu? Kto ze znanych Ci osób cię polskich twórców wywarł na ciebie wpływ?

– Ponieważ żyłem w takim miejscu i czasie, gdzie niemal wszyscy spotykali się na co dzień, praktycznie przyjaźniłem się ze wszystkimi znaczącymi się ludźmi polskiej kultury lat 60. i 70. Ale idoli miałem tylko kilku i nie zawsze spośród tych najbardziej znanych ogółowi.

– Czy gdyby Ci dane było powtórzyć życie, robiłbyś podobnie?

– Tak, mimo szeregu popełnionych zasadniczych błędów, bo zawsze szukałem dokładnie tego samego.

– A czego?

– Logicznej abnormalności.

Rozmawiała:

Alieja Nagy ■

To jasne

To jasne, że nie mówiłem, co naprawdę myślę, ponieważ na szacunek zasługują śmiertelni, i nie wolno wyjawiać, w mowie ani na piśmie, sekretów naszej wspólnej cielesnej mizერი. Chwiejnym, słabym, niepewnym wyznaczona praca: Wzniesić się dwa centymetry nad swoją głową i móc powiedzieć komuś, kto rozpacza: „Ja też tak samo płakałem nad sobą.”

Világos

Világos, nem mondtam el, amit igazán tudok, mert tisztelte érdemesek a halandók, és nem szabad szóban, sem írásban kimondani testi nyomorunk közös titkait. Ingadozók, gyöngék, bizonytalanok kijelölt dolga: Két centire felemelkedni saját fejük fölé, és mindazoknak mondani, kik kétségbe esnek: „Én is így keseregtem fájdalomam fölött.”

(ze zbioru „Warkocze niebios” Budapeszt, 2004)

CZESŁAW MIŁOSZ



1911-2004

PODOBIENSTWO RÓŻNIC

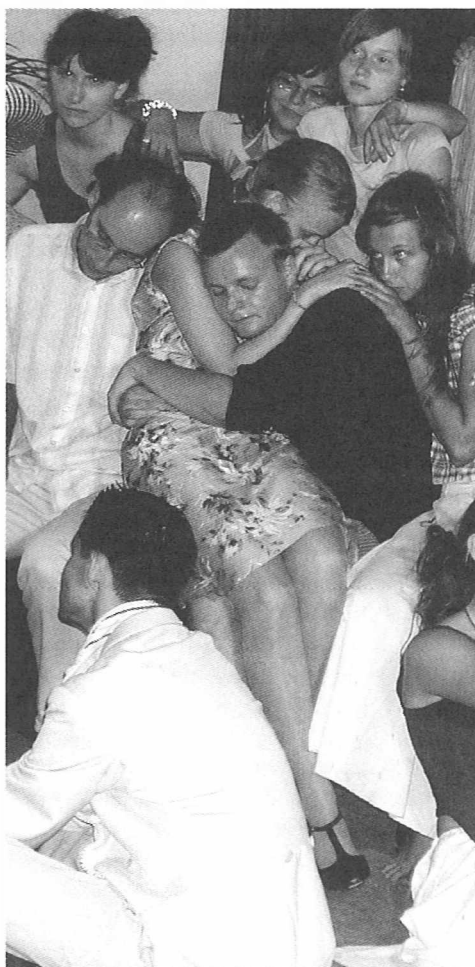
■ Kiedy na zorganizowanym przez SSMP spotkaniu koordynacyjnym polskich samorządów dzielnicowych i organizacji społecznych przewodnicząca II dzielnicy, Maria Felföldi, zdradziła się z zamiarem zorganizowania w lipcu międzynarodowych warsztatów artystycznych dla młodzieży, niektórzy powątpiewali, czy jej się to uda, bowiem impreza wydawała się zbyt kosztowna. Ale Marysia dopięła swego i 14 lipca zjechała do stolicy Węgier młodzież pochodzenia polskiego lub sympatyzująca z Polską z Belgii i Holandii, aby od 15 do 21 lipca wraz z naszą młodzieżą z „Domu Otwartego” wziąć udział w spotkaniach teatralno-filmowych, odbywających się pod niezwykle trafną nazwą „Podobieństwo różnic”. Bo co by nie powiedzieć, nasi goście już od dawna żyją w krajach należących do UE, my natomiast dopiero od 1 maja b.r. Ale mimo różnicy warunków, w jakich przyszło nam do tej pory żyć, młodzież natychmiast znajdzie ze sobą wspólny język. Przeszkodą nie jest nawet wiek uczestników. W spotkaniach zorganizowanych w ramach programu europejskiego „Młodzież do Europy” (Mobilitas) najmłodsi byli uczestnicy z Belgii (15-16 lat) z Grupy Teatralnej im. J. Lelewela w Brukseli kierowanej przez Annę Nevers – Kos nieco starsi z Holandii, zrzeszeni w Scenie Młodych przy Scenie Polskiej, którymi opiekuje się Zofia Schrotten – Czerniejewicz. Naszego zespołu „Dom Otwarty” nie muszę przedstawiać, bowiem co roku spotykamy się z nim na kolejnych premierach. Wszyscy jego członkowie są studentami albo absolwentami polonistyki na Uniwersytecie im. Loránda Eötvösa. I tu też nie przeszkodziła różnica wieku. Młodzi natychmiast się porozumieli, zrodziły się przyjaźnie.

– Chcieliśmy poznać się nawzajem i stworzyć coś wspólnego, aby pokazać, że pomimo różnic wynikających z mieszkania w różnych krajach Europy, różnic językowych i kulturowych, jesteśmy jako młodzież zjednoczonej Europy bardzo do siebie podobni. To, co już nas do siebie zbliżyło to wspólne polskie korzenie, aktywność kulturalna i wzajemna ciekawość naszych różnic i podobieństw – powiedział mi w rozmowie Nicolas Schrotten z Holandii, a poparł go inny aktywny członek Sceny Młodych, Piotr Chojecki.

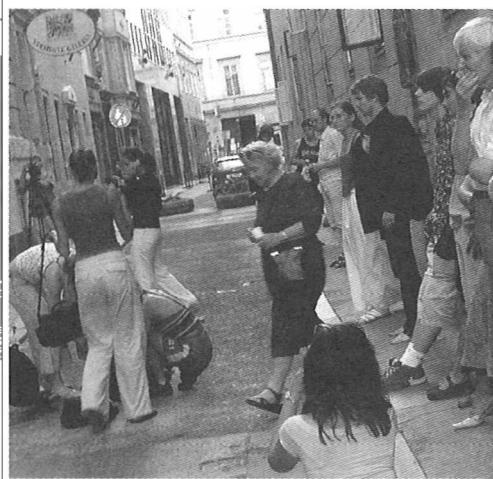
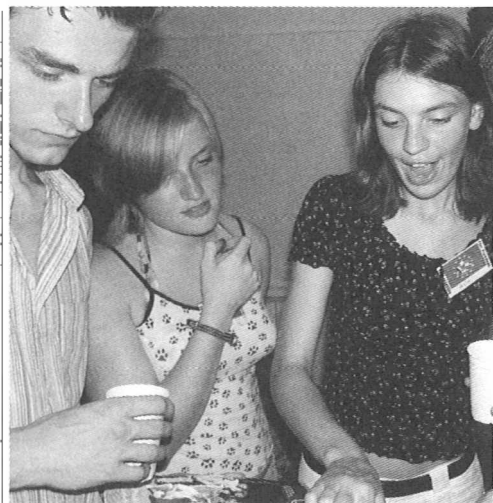
Uczestnicy warsztatów podzielili się na dwie grupy: filmową i teatralną. Z pierwszą, do której zapisali się przede wszystkim członkowie grupy belgijskiej przez trzy dni mieli zajęcia Jan Szmidt – operator

i Michał Wnuk – student łódzkiej Szkoły Filmowej. Niektórzy po raz pierwszy mieli kamerę w rękę. Uczyli jak robić portret danej osoby, film dokumentalny i fabularny. Grupę teatralną poprowadziła reżyser Teatru Małego w Tychach, Iwona Woźniak, która na co dzień zajmuje się też młodzieżą niepełnosprawną. Zajęcia zaczęła od podstaw aktorskich, od tego jak zachować się na scenie, jak się poruszać. Wielką uwagę zwracała na dykcję i emisję głosu. Dopiero potem były krótkie etiudy teatralne najpierw bez tekstu. Na zakończenie grupa teatralna przedstawiła z ogromnym powodzeniem fragmenty „Wesela” Wyspiańskiego.

– Uważamy warsztaty za bardzo udane pod każdym względem – powiedziały mi Zofia Schrotten i Anna Nevers-Kos. Młodzież nasza naprawdę bardzo dużo się nauczyła, a ponadto zaprzyjaźniła się ze sobą, no i, co nie jest bez znaczenia, poznała chociaż trochę piękno Budapesztu. W przyszłym roku zaprosimy Węgrów do Belgii, a za dwa lata do Holandii. Zrobimy wszystko, aby kontynuować to, co tak pięknie zostało zapoczątkowane.



Scena zblorowa



Uliczny hapening

Belgom i Holendrom udało się zdobyć dofinansowanie kosztów podróży z konkursu ogłoszonego przez Komisję Europejską. Samorząd Mniejszości Polskiej II dzielnicy musiał pokryć koszty utrzymania młodzieży z własnych funduszy.

– Bardzo pomogły nam materialnie i merytorycznie władze dzielnicy, za co jestem ogromnie wdzięczna, jak również Samorząd Mniejszości Polskiej V dzielnicy, który opiekuje się „Domem Otwartym”

Było to z pewnością ogromne przedsięwzięcie, ale warto było ze względu na jego znaczenie. Mały nasz samorząd dzielnicowy jako pierwszy zareagował odpowiednio na fakt przystąpienia Węgier i Polski do Unii Europejskiej. Bo chociaż nikt z uczestników warsztatów nie mieszka w Polsce, to jednak wiedzą, że ich ojcowie czy matki właśnie stamtąd się wywodzą.

Podziękowania należą się też przybyłym z Polski filmowcom jak i Iwonie Woźniak, którzy zaoferowali bezpłatnie swą pomoc, poświęcając również swój czas na zajęcia z młodzieżą – powiedziała Maria Felföldi.

Alicja Nagy ■

PROCES Rok Gombrowicza

ZADOMOWIENIA

TRWA NADAL

■ Szeroki krąg węgierskiej publiki miał możliwość zetknąć się po raz pierwszy z twórczością Witolda Gombrowicza dopiero w sezonie teatralnym 1978-79. Wtedy właśnie zorganizowano w naszym kraju Festiwal Polskiego Teatru i w jego ramach Teatr Víg wystawił w listopadzie *Operetkę*. Cztery lata później węgierski czytelnik mógł wziąć do ręki pierwszą wydaną w języku węgierskim powieść Gombrowicza, *Ferdydurke*. (I zaczytywali się nią, naturalnie ci, któ-

rych nie odstaraszał odważny styl, wyzywający wręcz światopogląd i bezwzględny sarkazm autora.)

Wszystko wskazuje jednak na to, że czas jaki upłynął od tej chwili był zbyt krótki, by twórczość tego wielkiego polskiego pisarza zadomowiła się tu na stałe, by węgierscy krytycy literaccy i teatralni często do niej powracali, powoływali się na autora. A przecież od tego czasu wszystkie jego sztuki trafiły na sceny węgierskich teatrów i wydane zostały najważniejsze jego dzieła. (W 1987 roku wydano *Trans-Atlantyk* i *Pornografię*, a po zmianach ustrojowych *Dziennik*.) I choć prawdą jest, że od czasu do czasu któryś z teatrów włączy do swego repertuaru którąś ze sztuk Gombrowicza, i wtedy jest o nim głośno, jest wynoszony pod niebiosa, to po przejściu chwilowej gorączki znowu zapada cisza. Na pocieszenie można stwierdzić, że i węgierskich twórców, którzy podobnie jak Gombrowicz szczerze i konsekwentnie piętnują narodową stronniczość i uprzedzenia publika nie przygarnia bynajmniej do piersi.

Nie było też jednoznaczne przyjęcie swego czasu *Operetki*. Krytycy nie byli zgodni nawet w kwalifikacji rodzaju sztuki. Jedni potraktowali ją jako parodię, inni nie. Z tymi ostatnimi utożsamia się reżyser Péter Valló, który wspominając spektakl sprzed 25 lat stwierdził: „W mojej koncepcji sztukę tą należy grać jak rzeczywistą operetkę, przy czym wali się w niej świat, jaki operetka reprezentuje”. (Na chaos w pojmowaniu sedna może wskazywać fakt, że mimo tego jeden z węgierskich krytyków w recenzji spektaklu Teatru Víg dla jednego z polskich czasopism pisze o parodii.) Dziś nie da się już określić na ile zamiary Valló zostały zrozumiane przez ówczesną publiczność. Wspomnianego krytyka nie można jednak ganić za to, że sztuka mu się nie spodobała, bo przecież wielki znawca twórczości Gombrowicza, sam Artur Sandauer też nie uznawał *Operetki* za wybitne dzieło.

(Podobnie zresztą jak *Pornografię* i *Kosmos*.) Inny krytyk teatralny Béla Mátrai-Betegh z dzien-

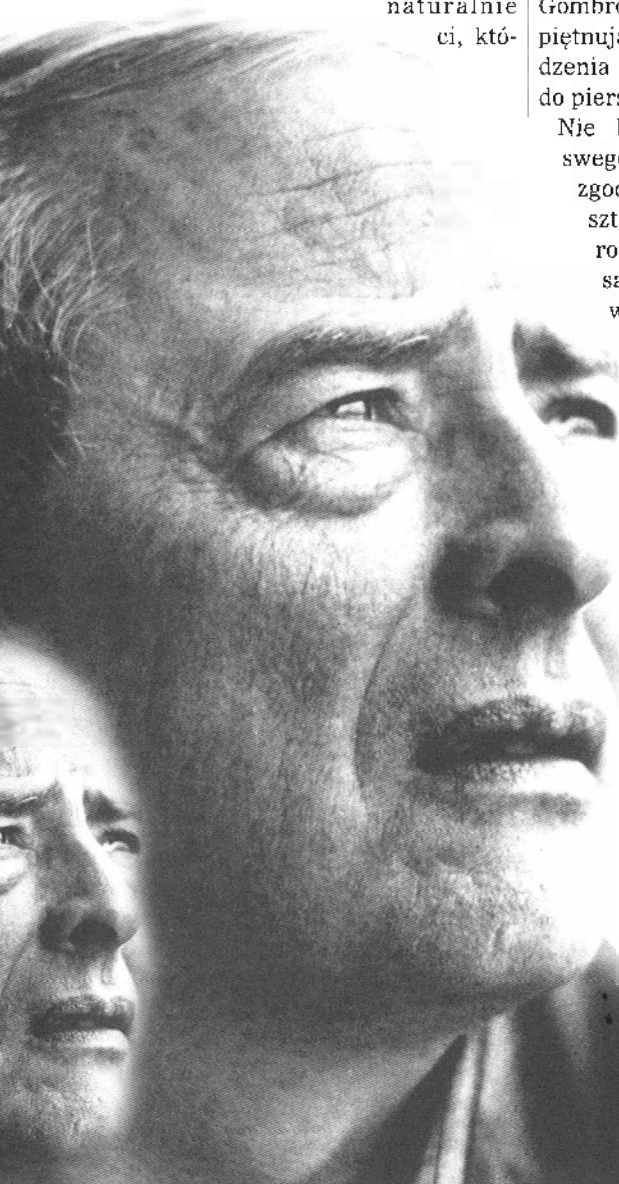
nika „Magyar Nemzet” z kolei niezbyt wysoko oceniał zdolność odbioru sztuki przez węgierskich widzów pisząc: „Niestety widz nie dostrzega, że wznoszący się wysoko nad scenicznym horyzontem szczyt jest wulkanem przykrytym czapą białego śniegu, lecz jest on dla niego raczej ogromną porcją waniliowych lodów, i widząc jak lizusowsko poruszają się wokół niego amanci, subretki, diwy i inne operetkowe postaci żywi nadzieję, że i jemu będzie dane samokołyku poprobać. Któż się ma bać lawy bulgocącej w porcji lodów? Niektóry widz nie ma pojęcia, że sztuka o tytule *Operetka* może być wszystkim, tylko nie operetką. Wierzy więc w to, że jest tam gdzie myśli że jest, a jeśli tam się nie odnajduje, doznaje rozczarowania”. Jest faktem, że wspaniała obsada przyciągała na ten spektakl szerokie rzesze widzów, i nie zawiodła się, bo Péter Balázs, Antal Farkas, Judit Halász, Géza D. Hegedűs, Gábor Mádi Szabó, Gyula Szombathy i László Tahi Tóth grali znakomicie.

Krytycy teatralni zamiast zająć się analizą spektaklu artykułowali raczej przekazywany głośno pocztą pantoflową niebawmy fakt – *horribile dictu* – za jaki uznano pojawienie się na scenie w finale sztuki nagiej aktorki. Krisztina Peremartoni była chyba pierwszą aktorką węgierską, która weszła na scenę bez okrycia. Wyjaśnienia Valló zaprzeczały nagości, ponieważ aktorka miała perukę do kolan, tak że „nic” nie było widać.

Nagość u Gombrowicza ma naturalnie wartość symbolu, ale zdaniem Tamása Tarjána: „Spektakl Teatru Víg nie zajął zdecydowanego stanowiska, zaczęła naga dziewczyna jest jedynie nagą dziewczyną (Większość męskiej publiki, w przeciwieństwie do krytyka, prawdopodobnie nie od czuła zgorszenia...) Niezależnie od tego krytyk ten uznał premierę za „znaczące przedsięwzięcie”, ale wykonane z „połowicznym sukcesem”. Natomiast András Rajk spektakl w przekładzie Gézy Balogha uznał za ważne wydarzenie życia teatralnego.

Mniniejsze zainteresowanie towarzyszyło wystawionej w Kaposvárze sztuce *Ślub*, w reżyserii Jánosa Acsa, chociaż fachowe pismo jakim jest „Teatr” uznało produkcję za najlepszy spektakl Festiwalu Polskiego Teatru.

Pięć lat później, w 1983 roku Krystian Lupa wyreżyserował w Teatrze Petőfiego w Veszprém sztukę *Iwona, księżniczka Burgunda*, dla której sam zaprojektował dekoracje i kostiumy. Lupa wiernie oddał przekaz Gombrowicza – jak ograniczone są możliwości działania człowieka. W spektaklu prowadzonym w tonie groteski reżyser dobrze wyważył proporcje elementów dramatu i komedii. Od aktorów oczekiwał on maksymalnej współpracy, żądał by panowali nad każdym swym gestem i drgnięciem ciała.





Sztuka była grana w nadbalońskiejskiej miejscowości z dużym powodzeniem, choć niezwykle sposób inscenizacji nie zawsze pomagał w zrozumieniu tekstu. Trzeba dodać, że Lupa przed przygotowaniem tej sztuki wcześniej trzykrotnie współpracował z vespérmskim zespołem (w 1975, 1978 i 1982 roku) i tym samym jego styl nie był już obcy dla miejscowej publiczności.

Wiosną 1989 roku *Iwonę, księżniczkę Burgunda* włączył do swego repertuaru Teatr Gergelya Csikyego z Kaposváru. Zdaniem krytyka dziennika *Népszabadság*, „akcja toczy się w świecie takich abstrakcji psychologiczno-filozoficznych, że łatwo daje się odnieść do dowolnej rzeczywistości i może właśnie dlatego niemożliwe staje się znaleźć w niej właściwą treść rzeczywistości. Reżyseria Tamása Aschera nie dąży nawet do usilnego odniesienia sztuki do jakiegokolwiek konkretnej rzeczywistości społeczno-politycznej.” Z tej recenzji wynika też (choć może jest to niezrozumiałe), że „Eszter Csákányi w roli Iwony jest brzydka myślowo a nie uczuciowo”. Przeciwnieństwem księżniczki jest dama dworu Iza, „której piękno, w wyniku odtworzenia roli przez Eszter Nagy-Kálózy jest tak samo prawidłowością jak brzydota Iwony. I w końcu ostatnie zdanie krytyki, którego znaczenie jest podobnie mgliste: „Każdorazowe pojawienie się lokaja w osobie Györgya Hunyadkürtiego ma specyficzne znaczenie”.

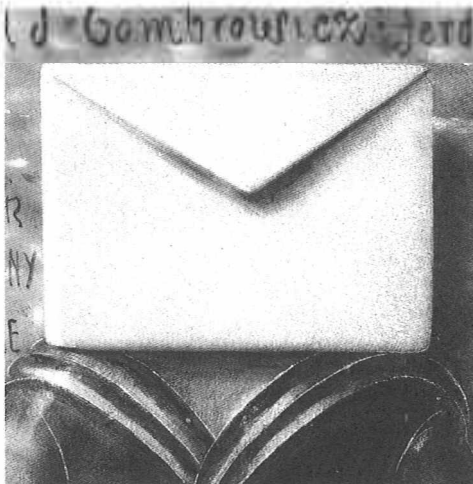
Z całego jedno nie wynika czy spektakl był dobry czy nie. To samo można zarzucić krytykowi dziennika „*Népszava*”, chyba że zadowoli nas stwierdzenie, iż „Oprócz wykreowania karykatur postaci każdy najmniejszy krok jest skomponowany, dokładnie pasuje do mechanizmu wizji scenicznej stworzonej z dużą zdolnością i siłą wizualnej wyobraźni.”

Jeśli krytycy nawet nie dokonali jednoznacznej oceny spektaklu to za sukcesem może przemawiać fakt, iż Eszter Csákányi

została nagrodzona na dorocznym Ogólnokrajowym Spotkaniu Teatralnym za najlepsze odtworzenie roli żeńskiej.

Osiem lat później również budapeszteński Teatr im. Józsefa Katony wystawił tę groteskową tragikomedię z 1933 roku w reżyserii Gábora Zsámbékiego, który nacisk położył na inność Iwony. Trudnego zadania wykreowania księżniczki Burgunda – po sukcesie Eszter Csákányi – podjęła się młoda adeptka aktorskiego kunsztu Anita Tóth, dobrze je rozwiązując. „Na premierze pozostawiła w widzach głębokie wrażenie” – pisał na łamach „*Magyar Nemzet*” Miklós Györfy, według którego reżyser z kolei nie odnalazł się w stylu odbiegającym od dotychczasowych jego inscenizacji. „Z tego powodu spektakl jest lekko poszarpany, posuwa się kulejąc. W łącznym odbiorze naprawdę udaną była jedynie scena finałowa: ceremonia świątecznej kolacji, podczas której każdy oczekuje momentu udławienia się Iwony rybą ością.”

Od wydania dramatów Gombrowicza przez Wydawnictwo Europa w przekładzie Istvána Eörsiego, Andrása Pályiego i Györgya Spiró ze słowem wstępnym Andrása Pályiego minęło właśnie 20 lat. Z pozycją tą zapoznał węgierskich czytelników na



Ferdydurke – fragment plakatu Jerzego Czerniawskiego

łamach tygodnika *Élet és Irodalom* z 12 października 1984 roku László F. Földényi w recenzji pt. W gąszczu losu. Jak twierdzi autor, trzy sztuki, *Iwona, księżniczka Burgunda*, *Ślub* i *Operetka*, zyskały światowy sukces po części dlatego, że korespondują one z charakterystyczną dla epoki utratą wartości idei. Ostatnie słowo należy do radości – stwierdził Földényi. Dodał też: – Wydanie po węgiersku nowego tomu Gombrowicza jest szczególnym wydarzeniem na węgierskim rynku wydawniczym. Nasze życie intelektualne jest nadal boleśnie nietknięte i odizolowane od specyficznego kierunku współczesnej literatury, którą utożsamiają tacy absolutnie samotni pisarze jak np. G. Bataille, W. Nabakow, Pauline Réage czy znani u nas fragmentarycznie Genet i Céline. Do nich należy też podnoszący wschodnioeuropejskość do uniwersalnego poziomu Gombrowicz.”

Jeszcze mniej znana jest Węgrom proza Gombrowicza. Dotychczas tylko niektóre jego utwory doczekały się jednego wydania i to w niewielkim nakładzie. I choć nie ma dokładnej statystyki to należy podejrzewać, że tomiki te w bibliotekach publicznych nie świadczą o ich częstym wertowaniu. Przyczyny stanu rzeczy mogłoby odkryć tylko wnikliwe badanie socjologiczne.

Prawdziwą popularność ma Gombrowicz w kręgach węgierskich polonistów. Wśród nich wiele dla „zadomowienia” pisarza na Węgrzech dokonali zwłaszcza Csaba Gy. Kiss, Lajos Pálfa i András Pályi. Csaba Gy. Kiss na łamach „*Könyvvilág*” w 1984 roku napisał m.in.: „I gdzie mógłby się czuć, poza Ojczyzną, jak u siebie w domu jak nie u nas, gdzie forma życia i liczne cechy tradycji są tak podobne do polskich, gdzie odważna zmiana kierunku w literaturze jest podobna pod niektórymi względami do zwrotu przez niego dokonanego?” Bądźmy szczerzy i wyznajmy, że dalece nam jeszcze do tego, by Gombrowicz mógł się czuć na Węgrzech jak u siebie w domu. Nim to nastąpi odnotujmy, że wyjątkowym przykładem dla tego procesu może być obszerna, w gatunku literackim trudna do określenia, książka Istvána Eörsiego pt. *Idom Gombrowiczsal* (Wydawnictwo Pesti Szalon, 1997), poświęcona polskiemu twórcy. Jest to zbiór osobistych zwierzeń, dziennik dziennika (jak to czytamy na jej okładce), notatek, z którego możemy się dowiedzieć o autorze przynajmniej tyle samo, co o hohaterze książki. Eörsi prowadzi w niej wiele rozważań, dyskutuje z wieloma twórcami, w tym także z samym mistrzem, ale któregośkolwiek tematu by nie dotknął punktem odniesienia zawsze pozostaje Gombrowicz. Kto zna światopoglądy obydwóch i literackie stanowisko ten bezsprzecznie dostrzec musi podobieństwo ich intelektu, zwłaszcza po przeczytaniu tej książki.

László Ábrán ■

LAUREACI

Z okazji święta węgierskiej Polonii w tym roku Nagrody „Za zasługi dla węgierskiej Polonii” otrzymali: Krzysztof Ducki – artysta plastyk, Ewa Modrzejewska – przewodnicząca Oddziału PSK im. Józefa Bema w Dunaújváros i András Pálfalvi – dyrektor Wojewódzkiego Centrum Kultury „Barátság Háza” w Székesfehérvárze.



Krzysztof Ducki

■ Znany i wysoko notowany i w węgierskich kręgach twórców plakacista i grafik, od marca 1997 r. do kwietnia 1999 r. troszczył się o szatę graficzną „Polonii Węgierskiej”, a od sierpnia 2000 r. do chwili obecnej „Głosu Polonii”. Ale nie tylko. Jest on także autorem projektu graficznego i okładek dwujęzycznych książek wydanych przez Stowarzyszenie Bema: *Pod wspólnym sztandarem (1848-49). Polacy w węgierskiej Wiośnie Ludów*, *Węgiersko-polskie więzi historyczne w X-XVI wieku*, *Wierni Polskim korzeniom. 45 lat Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema na Węgrzech* i antologii poezji polskiej XX wieku *Warkocze niebios*, ale od lat także kalendarzy wydawanych przez Stowarzyszenie Św. Wojciecha. Jego plakaty, która to forma wyrazu jest mu najbliższa i tu osiąga największe sukcesy, były pokazywane na niejednej wystawie na Węgrzech, za granicą i naturalnie w Polsce.

– Krzysiu, bardzo serdecznie Ci gratulujemy tej nagrody. Uważmy, że bardzo sobie na nią zasłużyłeś. A Ty jak ją przyjąłeś?

– Na początku gdy zaczęto przyznawać nagrodę był okres, gdy podchodziłem do formuły jej nadawania z dużą rezerwą. Teraz istnieje już kapituła, kandydatów do nagrody zgłaszają samorządy istniejące na Węgrzech, organizacje, a nawet o ile wiem, osoby prywatne z Polonii. Oczywiście poczułem się zaszczycony, że właśnie mnie ją przyznano. Niestety muszę przyznać, że raczej rzadko mam okazję zjawiać się na różnych imprezach polonijnych. Przejawem mojej aktywności są raczej prace jakie wykonuję, poprzez które staram się stworzyć odpowiedni wizerunek Polonii i Polski tutaj na Węgrzech.

– Doświadczyłam tego niejednokrotnie jako prezes Bema i za to też bardzo Ci dziękuję. Przypomnę choćby ostatnią książkę „Warkocze niebios”, która nie mogłaby się ukazać, gdyby nie praca Twoja i wszystkich innych, pracujących jak to się mówi „dla idei”. W historii sztuki węgierskiej uważany jesteś za węgierskiego grafika...

– Rzeczywiście. Mieszkam na Węgrzech od 82 r., a więc powoli dłużej niż w Polsce. Pracując tutaj i tworząc zdobyłem już wiele nagród i wyróżnień właśnie jako twórca węgierski, chociaż mam jedynie obywatelstwo: polskie. W Budapeszcie współpracuję z Instytutem Polskim, ale miałem też szczęście współpracować z In-

stytutem Węgierskim w Warszawie czy Centrum Węgierskiej Kultury w Krakowie. W świecie reprezentuję sztukę węgierską, ale na Węgrzech mam też wystawy jako Polak. Na ostatnim Biennale Plakatu w Wilanowie w czerwcu tego roku w katalogu występuję pod hasłem Polska/Węgry.

– Macie dwóch synów, Tomka i Witka. Obydwu znamy też z rysunków zamieszczanych swego czasu na łamach „Polonii Węgierskiej”. Obydwaj znakomicie mówią po polsku. Czy i oni chcą pójść Twoim śladem?

– Tomek jest na IV roku w budapeszteńskim Uniwersytecie Sztuk Użytkowych, gdzie zajmuje się z ogromnym powodzeniem filmem animowanym i krótkometrażowym. Witek jest w klasie maturalnej u pijarów i również pociąga go film. W miarę własnych możliwości w swoim środowisku młodzieżowym starają się propagować kulturę polską obszarów z których ja już może wyrosłem.

– Na zorganizowanej z okazji święta Polonii wystawie „Cztery Nieba” znalazły się i Twoje najnowsze plakaty.

– Wystawa ta miała dla mnie duże znaczenie. Jest rzeczą ważną, aby nasze środowiska twórcze z Europy Środkowej bliżej ze sobą kooperowały i lepiej się wzajemnie poznały. Już takim pierwszym efektem jest np nawiązanie osobistego kontaktu z twórcą polonijnym ze Słowacji, panem Zbigniewem Błońskim, który już teraz złożył wiele propozycji dla dalszej współpracy.

Alicja Nagy ■



Ewa Modrzejewska

■ – od lat działa aktywnie wśród Polonii w Dunaújváros. To dzięki niej na początku lat 90. powstał w tym mieście oddział Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema na Węgrzech, którego została przewodniczącą, pełniąc funkcję tę do dnia dzisiejszego. W 1994 r. natomiast założyła „szkółkę niedzielną”, w której pracuje jako nauczycielka do dziś. W 2002 r. dzięki jej staraniom powstał Samorząd Mniejszości Polskiej nie tylko w mieście jej zamieszkania, czyli w Dunaújváros, ale i w sąsiedniej miejscowości Adony.

– Przede wszystkim bardzo serdecznie Ci gratulujemy tej nagrody. Jak Ty zareagowałaś na wiadomość o niej?

– Tak naprawdę była dla mnie wielkim zaskoczeniem, ponieważ nigdy o tym nie



nyślałam. Uważałam, że coś muszę robić dla Polaków i ludzi polskiego pochodzenia w mieście, w którym zamieszkałam po wyjściu za mąż za Węgry, gdzie wychowywały się i uczyły moje dzieci: dwie dorosłe już córki i syn.

Po otrzymaniu wiadomości o nagrodzie poczułam się dumna, że mnie, a przez to i nas zauważono. Bo przecież nie sama organizuję konkursy, obozy, spotkania, wystawy. Lubię to robić i zawsze mam jakieś pomysły. Bardzo ważną sprawą było powołanie u nas w Dunaújváros Samorządu, wszak oprócz pomysłów i zapału potrzebne są jeszcze pieniądze. Mamy bardzo dobre kontakty z burmistrzem miasta, z referentką do spraw kultury. Są oni dla nas serdeczni i otwarci, za co chciałabym im w tym miejsku podziękować. Ale współpracujemy i z innymi mniejszościami w mieście. Już po raz drugi organizowaliśmy Dzień Mniejszościowy z udziałem Mniejszości Cygańskiej, Chorwackiej i Serbskiej.

– A z czego jesteś najbardziej dumna?

– Chyba z tego, że mogłam Węgrom tu w naszym mieście przybliżyć Polskę:

– dzieciom z węgierskich szkół podstawowych poprzez zorganizowanie konkursu rysunkowego o Polsce. (W tym roku po raz drugi prace te były wystawione w auli teatru im. Bartoka),

– kulturę polską poprzez wystawę grafiki prasowej oraz malarstwa,

– kilimy, gobeliny i koronki zakopiańskie przez miśnięć podziwiali mieszkańcy miasta.

Dziękuję wszystkim moim koleżankom i kolegom, z którymi pracujemy w samorządzie. Mam nadzieję, że razem będziemy mogli jeszcze dużo zrobić i dla nas i naszych węgierskich przyjaciół. A.N. ■



András Pálfalvi

■ jest dyrektorem Wojewódzkiego Centrum Kultury „Barátság Háza” w Székesfehérvárze

– Jak zareagował Pan na wiadomość o przyznaniu nagrody „Za Zasługi dla Węgierskiej Polonii”?

– Wiadomość o przyznaniu nagrody była dla mnie wielką niespodzianką. Zarówno ja, jak i moi współpracownicy, przyjęliśmy ją z dużą radością, ciesząc się z uznania, jakie nasza działalność zyskała w kręgach polonijnych. Nagrodę traktujemy jako duże wyróżnienie. Jesteśmy nieco zaskoczeni, ale i dumni z zaszczytu jaki nas spotkał.



Na scenie zespół „Anutki”

– Czy i innymi organizacjami narodowościowymi też się tak zajmujecie, jak polską?

– Nazwa naszego Wojewódzkiego Centrum Kultury – Barátság Háza czyli Dom Przyjaźni – zobowiązuje nas niejako do pewnego otwarcia się na działalność węgierskich mniejszości narodowych. Staramy się pomagać różnym mniejszościowym organizacjom, o ile z ich strony jest takie zapotrzebowanie i wola współpracy. W Székesfehérvárze – oprócz wieloletnich, tradycyjnych już kontaktów z polonijną społecznością – próbujemy wspierać działalność istniejących od niedawna i dopiero „rozwijających skrzydła” samorządów mniejszości. Współpracowaliśmy przy organizacji różnych imprez kulturalnych i wystaw – oprócz polskiej – z mniejszością ormiańską, serbską, słowacką i niemiecką. W miarę naszych możliwości, staramy się udostępniać im nasze obiekty, służyć radą i pomocą. Jest to zupełnie naturalne, gdyż misją i celem naszej instytucji jest także prezentowanie mieszkańcom miasta i regionu kultur różnych narodów, ich obyczajów i tradycji.

– Skąd ta sympatia do Polaków?

– Nasze kontakty z Polakami z Székesfehérváru mają już bogatą historię. Podczas 15-letniej współpracy z Klubem Polonia – Oddziałem Terenowym Stowarzyszenia im. J.Berna – i 6-letniej współpracy z polskim samorządem w tym mieście, spotkaliśmy działaczy lub radnych troszczących się o zachowanie swojej tożsamości narodowej, silnie identyfikujących się z polską kulturą i pragnących coś robić, by nie tylko obcować z nią w swoim środowisku, ale także rozpowszechniać ją wśród członków swoich rodzin czy miesz-

kańców naszego regionu. Swoim entuzjazmem i zaangażowaniem przy organizacji wielu ciekawych i na odpowiednim poziomie realizowanych imprez czy spotkań – „zarazili” niejako pracowników naszego domu kultury.

Sympatyczne dla nas było również i to, że w imprezach kulturalnych uczestniczyli reprezentanci kilku pokoleń polskiej mniejszości, a także często przedstawiciele władz miasta, polskiej ambasady w Budapeszcie czy delegaci różnych środowisk i organizacji polonijnych z całego kraju. Z zadowoleniem stwierdzaliśmy, że przedstawiciele polskiej mniejszości, pielęgnując swoje tradycje i obyczaje, prowadząc naukę ojczystego języka, przyjmując polskich aktorów, zespoły artystyczne, organizując konferencje czy ogólnokrajowe spotkania – dobrze się czuli w naszym domu kultury.

W takiej sytuacji nie można się dziwić, że ukształtowały się partnerskie stosunki umożliwiające owocną współpracę, której towarzyszy atmosfera wzajemnego zrozumienia, szacunku i sympatii.

– Czy nagroda w jakiś szczególny sposób obliguje do dalszej pracy?

– Mając na uwadze dotychczasowe doświadczenia, chcielibyśmy, aby ta naturalna – z naszej strony – współpraca domu kultury z miejscową Polonią była kontynuowana i układała się tak, jak dotychczas. Jesteśmy nadal otwarci na wszelkie inicjatywy i propozycje tej ciekawej społeczności. Zamierzamy dalej wspierać jej zamiary, służyć naszą profesjonalną wiedzą, radą i doświadczeniem oraz wspólnie cieszyć się z udanych imprez, spotkań czy wystaw.

Andrzej Straszewski ■

Obieżyświat jakich mało



■ Jest 1 września 2004 roku. Od blisko 20 lat właśnie tego dnia na budapeszteńskim cmentarzu Farkasrét przy grobie „Ojczulka” Polaków z czasów II wojny światowej dr Józsefa Antalla spotyka się tutejsza Polonia. Początkowo byli to przede wszystkim „Bemowcy”, ale z czasem pojawiają się nowe, nieznane osoby. Tak było i tym razem. Wśród zebranych tam osób uwagę moją zwrócił mężczyzna ubrany w biało-czerwony dres zdobiony polskim orłem. Okazało się, że jest to przybyły z Wałbrzycha Henryk Fortoński, który będąc w drodze do Aten zatrzymał się na krótko w Budapeszcie.

– Co Pana tam wiedzie do Aten?

Jestem sportowcem. Moim celem jest dojechanie na rozpoczęcie paraolimpiady w Atenach. 26 sierpnia w towarzystwie małej ekipy wyruszyłem na rowerze z Wałbrzycha. Jest to drugi etap mojego objazdu Europy. W ubiegłym roku jako pierwszy Europejczyk z jedną nogą, przejechałem tu właśnie 9 tys. km. W związku z tym, że w tym roku paraolimpiada odbywa się w Atenach, zdecydowałem się na drogę do Grecji.

– Ma Pan do przejechania aż siedem krajów. Kiedy zamierza Pan tam dojechać?

– 17 września rozpoczynają się igrzyska, a my 16 września będziemy w Atenach i tam w wiosce olimpijskiej spotkam się z około stuosobową polską reprezentacją. Mam nadzieję, że powiedzie im się dobrze, bo sportowcy niepełnosprawni zdobywają zazwyczaj więcej medali od sportowców pełnosprawnych. To zawsze się potwierdzało.

– Od jak dawna uprawia Pan kolarstwo?

Moja przygoda z rowerem rozpoczęła się cztery lata temu. Obejrzałem wówczas film o pewnym Amerykaninie, który będąc – podobnie jak ja – niepełnospraw-

nym, rowerem przejechał po swoim kraju 3 tysiące kilometrów. Pomyślałem sobie, że powinienem spróbować i co więcej postanowiłem być od niego lepszy. I wie pani już mi się to chyba udało osiągnąć. Pierwszym poważnym wyzwaniem było objechanie Polski dookoła – 3,5 tys. km. A w tym roku 18 maja byłem rowerem na urodzinach Papieża Jana Pawła II.

Trasa wiodła przez Alpy do Rzymu. No i tak rower stał się moją najnowszą pasją. Jest to już trzecia dyscyplina sportu, którą uprawiam. W latach 80-tych, już po wypadku, uprawiałem maratony na wózkach, potem doszła koszykówka i trwa to już dziewiętnasty rok. Uczestniczyłem dwukrotnie w mistrzostwach Polski, mam w dorobku kilkanaście medali, graliśmy też jako pierwsza drużyna polska w Eurolidze koszykówki na wózkach i to był jeden z moich większych sukcesów.

– Podczas swoich wędrówek spotyka się Pan z Polonią.

Wie pani, ja jestem bardzo wdzięczny Polonii zarówno na Węgrzech jak i w innych krajach Europy za pomoc jaką mi okazuje. Bez jej udziału byłoby mi bardzo ciężko realizować swoje plany. Bardzo mi miło, że właśnie 1 września mogłem spotkać się ze swoimi rodakami poza granicami kraju, przecież dziś obchodzimy 65 rocznicę wybuchu w Polsce II wojny światowej. To bardzo pamiętny dzień w życiu każdego Polaka, bez względu na jego aktualne miejsce zamieszkania. A każde spotkanie to nowe przeżycie i gdzieś w sercu kołaczę...

Pierwszy raz jestem na Węgrzech bardzo mi się tu podoba, a Budapeszt naprawdę jest piękny.

– Jak Pan myśli, co przywiezie Pan z Aten?

Ja nie jadę po medal, bo nie startuję w zawodach. Wspominałem, że moim celem jest objechanie Europy dookoła, a to będzie dokładnie połowa tego objazdu. Jak uświadomił mi to pewien Austriak, wyczyn ten jest równoznaczny ze zdobyciem medalu olimpijskiego, chociaż ja tego sam tak nie traktuję, ale nie przeczę, że będę zadowolony kiedy cały objazd Europy będę miał skończony.

– Czego się życzy kolarzom?

– Wiatru w plecy.

– A więc dobrego wiatru Panu życzę. To wielka sprawa potrafić w takim stylu być sprawnym inaczej.

Bożena Bogdańska-Szadai ■

Polskie tradycje i obyczaje

Matki Boskiej Siewnej

■ Matki Boskiej Siewnej – 8 września Święto zatwierdzone w liturgii Kościoła rzymskiego już w VII wieku.

W tradycji polskiej i przede wszystkim w tradycji ludowej Matka Boska, której święto obchodzi Kościół 8 września jest patronką jesiennych zasiewów i powszechnie nazywamy ją siewną.

W przeddzień tego święta rolnicy starają się więc rozpocząć wysiewanie zbóż ozimych, a pierwsze garście ziarna, obyczajem swych ojców i dziadów, zawsze rzucają na krzyż. Do ziarna siewnego (podobnie jak podczas siewów wiosennych) dosypują trochę ziaren wykruszonych z wieńca dożynkowego albo szczyptę ziela święconego na Matkę Boską Zielną, na Boże Ciało, ułamki i baze z palm wielkanocnych. Niedgdyś w pierwszą bruzdę obsiewanego pola kładziono kromki chleba, a gdzieś tam nawet całe bochenki, aby zasiane ziarno dobrze plonowało i aby nikomu w przyszłym roku nie dokuczył głód.

W dniu 8 września, zwłaszcza rolnicy, polecają się w modlitwie Matce Bożej Siewnej i oddają Jej w opiekę oziminy. J.K.

Rozmowy tej można było słuchać w „Magazynie polskim” Radia Węgierskiego, które już siódmy rok emituje audycje w języku polskim, w każdą niedzielę w godzinach od 21.30 do 22.00 w programie Radia Kossuth, na falach średnich o częstotliwości 873 kHz

Wakacje w Krakowie

■ Tygodniowy obóz dla młodzieży zorganizowany przez SSMP w Krakowie w dniach od 9 do 16 lipca z pewnością na długo pozostanie w pamięci 27 jego uczestników. Nie dlatego, że nigdy jeszcze nie byli w dawnej stolicy Polski, lecz dlatego, że nie wszystko jedno, jak się ją zwiedza. Dla nich zwiedzanie połączone było z nauką języka polskiego i historii jednocześnie. Młodzież w większości w wieku 15-19 lat, ale nie tylko, gdyż w grupie była trójka poniżej piętnastu lat, miała okazję zapoznać się ze wszystkimi najważniejszymi zabytkami Krakowa. Nie zabrakło więc w programie Rynku Głównego i okolic z Sukiennicami, Kościołem Mariackim, domem, gdzie mieszkał Balint Balassi, Wawelu z Katedrą, w której znajdują się groby wywodzące się z Węgier królowej Jadwigi i króla Stefana Batorego, dzielnicy Kazimierz, szlaku królewskiego, kopca Kościuszki itp. Naturalnie, nie mogło zabraknąć też kopalni soli w Wieliczce, której powstanie zawdzięcza się św. Kindze, córce króla Béli IV.

Aby zostało spełnione główne zadanie obozu, mianowicie doskonalenie języka polskiego, opiekunki grupy – Małgorzata Juhász i Anna Muhoray – wypracowały sobie specjalną metodę nauczania języka, polegającą na tym, że młodzież przygotowywała referaty na temat każdego zwiedzanego zabytku, które następnie tłumaczyła na węgierski tym uczestnikom, którzy niezbyt dobrze radzili sobie z językiem polskim. I jak się okazało, forma ta przypadła do gustu wszystkim.

Szczególne podziękowania należą się pani dyrektor krakowskiego oddziału „Wspólnoty Polskiej”, dr Krystynie Gąsowskiej, która nie tylko znalazła czas, aby spotkać się z uczestnikami obozu, ale i zapewniła grupie znakomitego przewodnika po Krakowie, Jana Dziurę.

Dzięki temu wszystkiemu naprawdę żał było roztawać się z pięknym Krakowem. Niektórzy zaraz po powrocie na Węgry rezerwowali sobie na wszelki wypadek miejsca na już przyszły rok. A.N. ■

POD NAMIOTEM



■ Znane są, chociażby z prasy codziennej, problemy wokół konkursów na wspieranie finansowe obozów młodzieżowych, co nasza drużyna doznała na własnej skórze. Z braku środków nie mogliśmy marzyć ani o zorganizowaniu obozu w Polsce, ani na Węgrzech z udziałem polskich drużyn, jak to wcześniej planowaliśmy.

To, że mogliśmy jednak wyjechać pod namioty zawdzięczamy zaprzyjaźnionej drużynie im. Zoltána Kodálya przy Związku Odkrywców Węgier w Kecskeméte, którą dowodzi mjr István Metzger. Właśnie oni zaprosili nas do własnego obozu w pobliżu Kecskeméte, dokładniej w Matkópuszcie, gdzie bemowscy harcerze mogli spędzić pod namiotem 15 wspaniałych dni.

Był to obóz z prawdziwego zdarzenia. Wojskowe namioty z łózkami polowymi, natryski pod gołym niebem (ale z ciepłą wodą), zajęcia w szałasie krytym trzciną ze stołami i ławami z pni drzew, służącym jednocześnie za stołówkę.

Zaraz po przyjeździe wciągnęliśmy na maszt nasz sztandar w barwach narodowych zdobiony harcerskimi lilijkami, polską i węgierską.

Uczestnicy obozu zapoznali się z zabytkami „sławnego miasta” Kecskeméte, a że był to skwarny dzień, trudy zwiedzania wypoczęli w Wojskowym Klubie Oficerskim. W programie nie zabrakło (oczywiście)

porannej gimnastyki, była gra w podchody, zawody zręcznościowe i strzelania z wiatrówką, wesołe kwizy. Była eskapada w miejsce, gdzie można było strzelać z łuku i jeździć konno. Odbyliśmy też podróż przemierzającą pusztę wąskotorówką, zmieniając na przystankach „pomocników” maszynisty dieslowskiej lokomotywy. Maszynista zapoznawał ich z tajnikami. Największą furorę robiły gwizdki. Całe szczęście było ich tylko trzy, a i tak podróż była dość głośna. (Ale przecież każdy był kiedyś dzieckiem.)

Były też zajęcia teoretyczne, m.in. z wiedzy o kraju, historii, meteorologii, kartografii, posługiwania się kompasem. Wiele czasu poświęcono 1100-letniej przyjaźni obydwóch narodów, co młodzi naukowcy skwitowali słowami: – Ależ to szmat czasu! Nasi nauczycieli węgierskich kolegów piosenki „Płonie ognisko” i od tej chwili otwierano nią po polsku i węgiersku każde ognisko.

Niecodziennym wydarzeniem była wizyta na lotnisku wojskowym w Kecskeméte. Wspaniałe odrzutowce MIG-29 były podziwiane nie tylko w czasie startu i lądowania, ale także z bliska, bo w jednym z samolotów stojącym w hangarze można było usiąść – naturalnie pod okiem lotnika – w fotelu pilota i zapoznać się z przyrządami tablic rozdzielczych. Zainteresowanie wzbudził też pokaz broni, choć nie wszyscy byli w stanie udźwignąć karabin maszynowy. Ciekawość nie opuszczała naszych młodych (także dziewcząt!) również w trakcie zwiedzania muzeum jednostki, gdzie wystawione były mundury, broń, makiety samolotów, wozów bojowych i innego sprzętu wojskowego. Żołnierze chętnie odpowiadali na niekończące się pytania.

Szybko zleciało piętnaście dni i naszedł czas powrotu. Od tego czasu nasi chłopcy i nasze dziewczęta zapewne podzielili się już wrażeniami z rodziną, a w szkole opowiadają kolegom i koleżankom o swych „bohaterskich” czynach. Była to wielka przygoda, wspaniałe przeżycie.

Endre Kondor ■

513. DRUŻYNA HARCERSKA

im. gen. JÓZEFA BEMA

ogłasza nabór do:

- zastępu zuchów (wiek od 7 do 10 lat)
 - zastępu harcerzy (wiek od 10 do 18 lat)
- Mile widziani są też instruktorzy ZHP, które mają chęć pomagać nam w pracy wychowawczej i instruktorskiej.

Nasz adres:

PSK im. J. Bema, (513 DH im. gen. J. Bema) 1051 Budapeszt ul. Nador 34.
Kontakt telefoniczny z komendantem drużyny: 3142-113 lub 06 20 4450822
hm. Endre Kondor

513. sz. BEM JÓZSEF TÁBORNOK

CSERKÉSZCSAPAT

cserkész toborzást hirdet:

- kiscserkészek rajba (7 és 10 év közötti gyerekek részére)
- cserkészek rajba (10 és 16 év közötti fiatalok részére)
- nagycserkészek rajba (16 év fölötti fiatalok részére)

Jelentkezni lehet levélben a Bem Egyesület címén (1051 Budapest, Nador utca 34.), vagy Kondor Endre csapatparancsnoknál a 3142-113 vezetőkes, és a 06-20-445-08-22 mobil-telefonon.

MISTRZOWIE Z ATEN

Otylia Jędrzejczak zdobyła trzy medale olimpijskie w tym złoty w pływaniu na 200 metrów stylem motylkowym.

Robert Sycz i Tomasz Kucharski wygrali w Atenach wioślarski wyścig dwójek podwójnych wagi lekkiej.

Robert Korzeniowski został zwycięzcą chodu na 50 km.

Fot. AP



Sztafeta Olimpijska

■ W chwili ukazania się naszego czasopisma emocje olimpijskie mamy już za sobą. Medale rozdane, zawodnicy powrócili do swoich krajów. My, Polacy zamieszkali na Węgrzech, nieraz staczaliśmy wewnętrzną walkę ze sobą, komu kibicować, Polakom czy Węgom.

Zanim jednak do tego doszło gościliśmy na Węgrzech w dniach od 4 do 7 sierpnia Polską 115-osobową Sztafetę Olimpijską Palmiry – Ateny 2004 im. gen. Kazimierza Głabisza, zorganizowaną z inicjatywy zapaleńców sportowych z Ostrowa Wielkopolskiego, Odolanowa, Wysocka Wielkiego i innych okolicznych miast. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego był Bogu-

■ Pierwszym Polakiem, który uczestniczył w programie symulacji życia w stacji badawczej na Marsie, jest doktorant Międzynarodowego Studium Doktoranckiego Nauk Biologicznych PAN w Warszawie Błażej Błażejowski. Niedawno zakończył się eksperyment, prowadzony na kanadyjskiej polarnej wyspie Devon.

„Wybrano arktyczną wyspę Devon, ponieważ panujące na niej warunki atmosferyczne i biologiczne bardzo przypominają warunki na Marsie” – wyjaśnił Błażejowski na konferencji w Muzeum Ewolucji PAN w Warszawie.

Eksperyment polegał na wysłaniu grupy naukowców w miejsce na Ziemi najbardziej przypominające Marsa. Uczestnicy projektu żyli tam niespełna miesiąc, prowadząc badania i przestrzegając określonego reżimu.

Organizatorem programu FMARS (Flash-line Mars Arctic Research Station), w którym uczestniczył Polak, było towarzystwo Mars Society, od lat propagujące ideę eksploracji Marsa.

Devon jest wyspą oddaloną od bieguna północnego o 1500 km. Większość jej powierzchni zajmuje jałowa pustynia. Budową geologiczną przypomina obszar rozciągający się wokół kraterów uderzeniowych na Marsie. Ponad 22 mln lat temu w wyspę uderzył meteoryt, wybijając szeroki na 20 km Krater Haughtona. Upadek ten wytrzebił wszystkie żywe organizmy

i zniszczył jej glebę. Ponieważ na Devon nie ma ani drzew, ani krzewów, wyspa do złudzenia przypomina Czerwoną Planetę.

Program poszukiwania śladów życia na Devonie był elementem międzynarodowych przygotowań do pierwszej załogowej misji na Marsa. W założeniu miał on pomóc w zbadaniu trudności, na jakie mogą się natknąć przyszli kolonizatorzy Czerwonej Planety.

Eksperyment toczył się na dwóch płaszczyznach. W pierwszej chodziło o symulowanie zachowań marsjańskich, np. zakładanie kombinezonów przed wyjściem na dwór, z zapasem tlenu na określony czas. Drugim wymiarem projektu były badania geologiczne, paleobiologiczne i biologiczne wyspy oraz poszukiwanie na niej śladów życia.

Program realizowano od 8 lipca do 5 sierpnia. Uczestniczyło w nim siedem osób z różnych krajów. Błażej Błażejowski jako pierwszy Polak brał udział w tego typu badaniach. Jego zadaniem było badanie żyjących na Devonie mikroorganizmów i analiza warstw osadowych powstałych na dnie jeziora, które wkrótce po uderzeniu meteorytu wypełniło krater.

Zdaniem organizatorów przedsięwzięcia doświadczenia zdobyte podczas pobytu w Devon pozwolą lepiej przygotować sprzęt i załogi, które w przyszłości będą badać Czerwoną Planetę.

Serwis „Polska-Polacy” na podstawie PAP ■

śław Cebulski, szef i artysta znanej nam z występów na 10-lecie Stowarzyszenia św. Wojciecha Kapeli znad Baryczy. Patronat nad tym niecodziennym przedsięwzięciem objął Marszałek Senatu RP, Longin Pastusiak.

Miejszem startu sztafety był grób mistrza olimpijskiego z 1932 r., Janusza Kusocińskiego w Palmirach. Sztafeta, w skład której weszło 10 biegaczy i 10 kolarzy (pozostali członkowie to różne ekipy organizacyjne i członkowie zespołów artystycznych), którzy na przemian na całej, liczącej 3500 km trasie wiodącej z Polski przez Czechy, Słowację, Austrię, Węgry, Chorwację, Jugosławię, Macedonię, Grecję do Aten przekazywali sobie pałeczkę. Na Węgrzech sztafeta zatrzymywała się w Győr, Budapeszcie i w Veszprém. Niżej podpisana miała ten zaszczyt i przyjemność, aby chociaż fragmentarycznie pokazać jej uczestnikom niektóre zabytki Budapesztu.

Ponadto ks. Leszek Kryża Polski Kościół, a Konrad Sutarski, przewodniczący OSMF zapoznał ich ze zbiorami polskiego Muzeum. Wieczorem 5 sierpnia natomiast na stadionie sportowym w XVII dzielnicy, który na dwie noce dał im schronienie dzięki tamtejszemu przewodniczącemu SMP Andrásowi Buskó, odbyło się ognisko połączone z pieczeniem kiełbasek i występami zespołów artystycznych towarzyszących sztafecie. Poza mieszkańcami dzielnicy wzięli w nim udział przedstawiciele władz dzielnicowych i przewodniczący OSMF, Konrad Sutarski.

Pierwsza tego typu impreza w historii nowożytnych igrzysk olimpijskich była możliwa dzięki ogromnemu wysiłkowi organizatorów, licznych sympatykom polskiego sportu na całej trasie, a także bardzo wielu sponsorom, których wyliczanie zajęłoby zbyt dużo miejsca.

Alicja Nagy ■

Felújítás tűz után

■ Végéhez közeledik egyesületünkben a felújítás, amelyet a július elején kiütt tűz kényszerített ki. Már régóta esedékes volt ugyan, de hiányzott hozzá a pénz. A szerencsétlenség azonban azonnali cselekvésre késztetett bennünket. A biztosítási összeg, néhány önkormányzatunk anyagi hozzájárulásával, lehetővé tette, hogy hozzálássunk a helyreállításához, a helyiség fokozatos átadásához. A munkálatokban, a mesterembereken kívül, tagjaink is részt vettek, élükön a vezetőséggel. Korinna Wesołowski az édesanyjával, Magdalena Gajda-Szombati, Alfred Wtulich, Gabriela Hajdú, Marta Orlińska, Małgorzata Végh, s a fiatalabbak: Tomasz Erdős, Tomasz Herendi időt és fáradságot nem kímélve buzgókodtak. Különösen kitűnt Andrzej Wesołowski, volt elnökünk, aki folyamatosan felügyelte és koordinálta a munkát.

Fáradozásukért csak elismerés és köszönet illetheti valamennyiüket. Hasonlóképpen kifejezzük köszönetünket mindazon kerületi lengyel önkormányzatoknak, amelyek segítségünkre siettek a bajban, azaz az V, XVII., II. és a XIII. KLKÖ-nak.

Jelentős anyagi támogatást kaptunk a Wspólnota Polska Egyesülettől és a keleti lengyeleket felkaroló alapítványtól is.

Az áldozatkészség és a lengyel szervezetek szolidaritása révén szeptember 19-től újra birtokba vehetjük egyesületi helyiségünket, s továbbra is rendszeres és alkalmi összejöveteleket rendezhetünk benne.

Mindenkinek még egyszer hálás köszönetünk!

Ryszard Kruza:

A logikus abnormitást keresem

■ A magyarországi lengyelek életének nagy eseményeként könyveltük el 1997-ben Ryszard Kruza fellépését egyesületünkben, akit Gonda János, a Jazz Akadémia igazgatója Európa legkiválóbb vibrafonistájaként mutatott be. Nem sokkal később a művész együttesével sikeres ifjúsági hangversenyt is adott az Akadémia utcában. Ezt az akkor még aktív Magyarországi Lengyel Alkotók Fórumának köszönhattuk. Az idő múlásával és a magyarországi lengyelek életének változásaival párhuzamosan a fórum beszüntette tevékenységét, de a művészek továbbra is

alkotnak. A legtöbb jelét ennek talán a képzőművészek adják, akik az ország számos pontján kiállítják munkáikat.

– Ryszard, hogy megy sorod? Régóta nem találkoztunk, habár – mint egyszer megjegyezted – hiányzik neked a lengyelség, különösen ami az intellektuális és a mentális szférát illeti, s szüntelen nosztalgiát táplálsz az óhaza iránt.

– Ez igaz. Minél idősebb vagyok, annál inkább elhatalmasodik rajtam ez a nosztalgia. Ugyanakkor már a magyarokhoz is eltéphetetlen szálak fűznek. A fiam, Richárd a családjával, a feleségem és sok-sok barátom, zenész kollégám. Magyarországi honfitársaimmal való újabb találkozásra egyelőre nem gondolhatok, mert nemrég súlyos műtéten estem át, s továbbra is kezelésre járok. De bízom benne, hogy kezembe vehetem még a vibrafont a sors kegyéből. Ez a hangszer mindig a legtöbbet jelentette számomra, s ma már tudom, hogy mintegy az elrendeltetésem is volt. Még gyermekkoromban megbabonázott, s az, hogy sokáig nem juthattam hozzá, tovább csigázta az érdeklődésemet. Dúlt a háború, s én játékszerek híján napokon át rajzoltam és lemezeket hallgattam. Később elkezdtem zongorázni tanulni édesanyám biztatására, aki zongorista volt. Rajta kívül is mindenki játszott valamilyen hangszeren a családban. Nem szerettem a klasszikus zenét, de mindenfajta ritmikus muzsika azonnal lázba hozott. Hamar felfedeztem magamnak Willis Canower Music U.S.A című híres jazz rádióműsorát, s ez a korszakom egészen középiskolás éveim végéig eltartott. Utána zongorán igyekeztem a nekem tetsző hangzásvilágra rátalálni. Az idő tájt, gdański építészhallgatóként, beléptem a Żakba, a Gdański Egyetemi Klubba is, ahol olyan művészekkel találkozhattam, mint Komeda, Cybulski, Namysłowski, Kobiela, Niemen, akiknek újfító szelleme, újfító törekvései magukkal ragadtak. És akkor ott, a klub padlásán rábukkantam egy régi vibrafonra, s ezzel elkezdődött a dzsesszrel való ismerkedésem, maga a muzsikálás által, a dzsessznek legmegfelelőbb környezetben.

– Tulajdonképpen tehát kora ifjúságod óta foglalkozol a zenével, akkor miért építésznek készültél, s nem a zeneakadémiára iratkoztál be?

– A szüleim kedvéért, s mivel tudtam rajzolni, rögtön felvettek. De csak tíz év múlva, 1967-ben kaptam meg a diplomámat, mert a vibrafonozásra fordítottam minden időmet.

– Légy szíves, mutasd be ezt a hangszert, mert nem biztos, hogy valamilyenki olvasónk ismeri...

– A vibrafon hazája Amerika, ahol nagy közkedveltségnek örvend, s gyakorlatilag az összes modern zenei stílushoz kötődik. Fémütőkkel játszanak rajta, hasonló módon, mint a xilofonon. A különbség a két zenészerszám között az, hogy a klasszikus

vibrafon elektronikus hangszer, s sokkal „dúsabb” a hangzása.

– Gdańskban nemcsak előadóművészként, hanem komponistaként is megismerhettek...

– A Żakon kívül, amelynek hatása és forradalmi atmoszférája csak a krakkói Piwnica pod Baranamihoz hasonlítható (történetét A kintornások nemzedéke, Andrzej Cybulskinak ez az 1968-ban Gdyniában kiadott könyve dolgozza fel alaposan), felléptem a Bim-Bam, a To-Tu és a Co-To kabrékban, zenét is szerevezve nekik. Megalapítottam az első szving-együttest, majd más együtteseket vezettem, közöttük a leghíresebb a North Coast Combo volt. Włodzimierz Nahorny is játszott benne. Abban a megtiszteltetésben részesültünk, hogy elsőként rendezhettünk jazzhangversenyt a Balti Filharmoniaiban. Ez, a jazz megjelenése a filharmonia falai között, valóságos történelmi eseménynek számított. Ehhez az kellett, hogy kellő tekintélyünk legyen a komoly zenei körökben. A Gdański Zeneakadémia egyik professzora a koncert után a fejéhez kapott, s azt mondta: „Uramisten! Két óra hosszágú játszottak – végig kotta nélkül!”

– Milyen volt a kapcsolat a krakkói művészkörökkel?

– Sokszor utaztam a városba az ún. Jazz-mindenszentekre, s gdański kabaréegyütteseket is elkísértem. De a tényleges krakkói kapcsolatomat Piotr Skrzynecki jelentette, akit Ewa Demarczyk révén ismerhettem meg. Magával az énekesnővel az opolei fesztiválon találkoztam, s nyomban elbűvölt kivételes személyiségével. Nemzedékünk minden erényét megtestesítette. Érdeklődésem hamarosan nőisége minden területére kiterjedt. Kapcsolatomat Skrzyneckivel még szakításunk után is buzgón ápoltam. Rendszeresek voltak Jazz, költészet című előadásaink, s egyéb rendezvényeink, amelyeken a főszerepet a dzsessz vitte. Számos kitüntetést és jutalmat kaptam dzsessz- és színházi fesztiválokon, 1964-ben például szólistaként és együttesemmel is az első helyre kerültem a wrocławai dzsesszfesztiválon. Emellett zenét szerztem Stanisław Rózewicz Emberek, emberek című darabjához.

– Hogy kerültél Magyarországra?

– Házasságom révén, amelyet Kárpáti Éva ismert énekesnővel kötöttem 1968-ban. Fiunk, Richárd szintén a zenével jegyezte el magát: az Eurosalsa nevű kitűnő együttes vezetője. Művészi múltamnak köszönhetően nehézség nélkül előadói státushoz jutottam a Bartók Béla Konzervatórium jazztanszékén, utóbb pedig a Jazz Akadémián. Akkoriban markáns különbség volt a magyarok és a lengyelek között a dzsessz mint életforma értelmezésében. Én a tanítás mellett azonnal harcot kezdtem az ellen, hogy a magyar fiatalok nem tudtak „megnyitni” játék közben, nem tudtak a játékhoz elengedhetetlenül szüksé-

ges belső szabadságra szert tenni. „Dev-
áns” tevékenységem eredményeit látva
óriási elégtételt éreztem. 1976-ban fel-
ajánlották, hogy szervezzem újjá az Állami
Könnyűzenei Központ stúdióját, de nem
fogadtam el, mert elbocsátották volna az
előadók felét.

– Ekkor már Lengyelországban is jól is-
mertek, nem elégíthetett ki tehát pusztán
csak a tanítás...

– A világhírű Pege Aladárral közös tur-
nén vettem részt Európában és az óhazá-
ban, majd Gonda Jánossal létrehoztuk a
Gonda-Kruza Quartetet, amely 1970-ben
második helyezett lett a székesfehérvári
ALBA REGIA szesszesszativálón. Később
a Richárd Kruza Quartet hasonló sikerrel
vendégszerepelt Európa-szerte és az Egye-
sült Államokban. 1972-től néhány évig
Kanadában tartózkodtam a családommal,
ahol a Body et Soul Együttes élén álltam,
szerződést kötöttem a torontói rádióval, a
Toronto Talent Agency-nél pedig zenekari
próbákat vezettem. Ez idő alatt fokozato-
san kiterjesztette rám csápjait az amerikai
popzene, amelyet egész nap sugároztak az
ottani rádiók. Újra érzékelnéi kezdtem a
klasszikus hangzás szépségét, a vonókat...
Ekkor tűnt fel, s számított nagy újdonság-
nak a szintetizátor. Nyomban rávettem
magam. A hozzá kötődő funky stílusirány-
zat óriási felfrissülést jelentett számomra
a coltrane zene után, amelybe nyakig be-
lemerültem, s amely végeredményben egy
sereg filozófiai problémát vetett fel ben-
nem.

– Ebben az időben jazzt már nem
játszottál?

– Egyre ritkábban. A hangszerelést és a
szonorisztikát tanulmányoztam, ám a vib-
rafontól sem tudtam elszakadni. A hang-
szintézis törvényeivel ismerkedve, lassan
tisztába jöttem vele, hogy mire képes a
klasszikus vibrafon, s mire nem. De sú-
lyos gépkocsibalesetet szenvedve, félre
kellett tennem a hangszert, s zenét írtam a
rádiónak, televíziónak, színházaknak.
Eugene Ionesco *A király halódik* című
darabját, amelynek szintén én szereztem a
zenéjét, sok országban, számos fesztiválon
műsorra tűzték. Lengyelországba vissza-
térve, a gigantikus Live ciklus Csillagok
tusájának zenei vezetője lettem a televí-
zióban. Akkori menedzseremmel, Wiesław
Dąbrowskival és Wowo Bielickivel, ifjúko-
ri barátommal dolgozhattam együtt ebben
a programban. Ugyancsak zenei vezetője
voltam az Egyesült Államokból importált
Klenczon Shownak. Lemezt is adtunk ki
akkor *Mondd meg öreg, hol voltál* címmel.

– Milyen emlékezetesebb CD-lemezeidet
említenéd még meg?

– A Quit Namyslowskival, a Takét és Ar-
kaint Milt Jacksonnal, a Vibes Unlimitedet
– a Kruza Quartettel, ezenkívül egy nem-
zetközi Big-Bandekre, vibrafonra – Pege
Aladárnak és az European Broadcastingna
Unionnak készített hangszereléseimet tar-



Fotó: Diner Tamás

talmazó CD-t. Valamennyit felsorolni – te-
kintettel arra, hogy milyen könnyűszerrel
készülnek – nem lenne értelme. Negyven-
re-ötvenre rúghat a számuk. Kiadásukat
az tette lehetővé, hogy Kovács Katalin,
második feleségem a Magyar Rádió ren-
dezője volt, s én is időm java részét a stú-
diókban töltöttem, rengeteg alkalmat ta-
lálva a más-más típusú zenekarokkal való
felvételekre. Természetesen jóval több fel-
vételt is készíthettem volna, de makacsul
kitartottam amellett, hogy ne veszteges-
sem el az időmet a népszerűsítésemre vagy
a pusztá pénzkeresésre. A különféle dara-
bok, de kivált a zene szépsége olyan erő-
vel hatott rám, hogy nevetséges lett volna
számomra telefonon szervezési ügyekről
tárgyalni, vagy arról, hogy mennyit lehet
valakiből kisajtolni egy koncertért. Azaz:
bosszantott minden, ami elvonta a figyel-
memet a számomra lényeges kérdésekről.

– Vagyis?

– Az volt a jelszavam, hogy egyvalamivel
foglalkozzam, de úgy, hogy abban ne le-
gyen hiba. Ez az egyvalami pedig a vibra-
fon volt. Nem szentelhettem azonban tel-
jesen neki magamat. Mint már eddigi be-
szélgetésünkben is kiderült, az élet zongó-
rázásra, hangszerelésre, komponálásra,
tanításra, könyvek írására kényszerített.
Könyvet írtam például Banyi Gáborral kö-
zösén *A szintetizátor a zenei gyakorlat-
ban*, Gonda János merendelésére pedig
Hangszerelési analízisek címmel. De én
vagyok a szerzője a *Vibrafon-iskola*, s *A
rögtönzés frazeológiája és lélektana* című
köteteknek is. Az írás és a zeneszerzés
amolyan mellékes tevékenység volt a sze-
memben. Elsősorban arra törekedtem,
hogy kiváló virtuóz legyenek, s hű maradjanak
a hangszeremhez. Álmodtam szóttem egy
szuper-vibrafonról, egy olyan tökéletes
hangszerről, amelynek vibrafon lévén is
sokkal nagyobb kifejező ereje lenne az új
zenei valóság körülményei között. Hozzá
is láttam egy ilyen hangszer elkészítésé-
hez. Ekkor fogalmaztam meg első hang-
zás-doktrínámat is. Mára, harminc évi
munka után elkészült a teljesen módosí-
tott, egyéni hangzású hangszerem. De
Böröcz Ferenc segítségével nélkül, egyna-
gam nem boldogultam volna. Ő az az em-
ber,*aki tökéletesen megértette elképzelé-
semet. Mérnöki képzettsége mellett zenei
felkészültsége is van, s így reális formába

tudta önteni a koncepciónak ezt a részét.
A hangzás-doktrínám által kijelölt úton
haladva nem csak megvalósította a doktrí-
na követelményeinek nagy részét, de né-
hány esetben saját hangzás-megoldásokat
választott, teljessé téve ezzel a hangszert.

– Meddig tartott ez a munka?

– Voltaképpen egész életemen át.

– Miből merítetted az ehhez szükséges
energiát?

– Úgy vélem, magamból, mert ilyen
energiák, ha nem egyforma mértékben is,
mindannyiunkban vannak. Én mindig
egyik elragadtatásból a másikba estem,
minden újdonságért lelkesültem, de min-
dig csak akkor, amikor már az előzőt ki
nem ismertem teljesen. És ha már telje-
sen kiismertem, megszűnt az elragadtatá-
som, elmúlt, mint a szerelem, mintegy va-
rázsütésre. Utána jött a következő elra-
gadtatás. Csak egy dolog nem változott
sosem: mindvégig a vibrafonnak azt a
hangzását kerestem, amelyet a bensőm-
ben hallottam, de amelyet magával a
vibrafonnal nem tudtam előcsalni.

– Soha nem gondoltál arra, hogy megválj
ettől a hangszertől?

– Dehogynem. Állandóan. És az, hogy
képtelen voltam elszánni magamat erre,
már-már beteggé tett. A klasszikus vibra-
fonnal már nem tudtam kifejezni magam.
Sőt. Egészében véve maga a zene is fá-
rasztani kezdett. Már semmi újat nem ta-
láltam benne, úgy éreztem, mintha lég-
üres térbe kerültem volna. És akkor segít-
ségemre siettek a szavak. Újra felismer-
tem, hogy milyen határtalan gyönyörűsé-
get szereznek az embernek. Megállapítot-
tam, hogy Tuwim ugyanazt nyújtja, mint a
dzsessz.

– Vagyis a zenehallgatásról áttértél az
olvasásra...

– Nem egészen, mert az teljes passzivi-
tást jelentett volna. De felismertem, s ezt
valóságos megvilágosodásnak tekintettem,
hogy a szó beépíthető a hangba. Nem úgy,
ahogy annak idején a *Žak Jazz és köl-
tész* előadóstjein példát adtunk rá. A
szónak a vibrafon-lemez hangjaiba való
tényleges beépítésére gondolok. Monolit.
Tökéletes ötvözet.

– ?...

– Ez nem magyarázható meg, ahogy a
színek sem magyarázhatók meg. Színeket
festhetünk, s nézhetjük őket. Nem mond-
hatok ennél többet.

– Jól van. Térjünk vissza a földre. Mű-
vészi eredményeidről már sokat megtud-
tunk. De vajon ilyen eredményesnek bizo-
nyultál a pénzügyeidet illetően is?

– Néhányszor igen. Rendszerint azonban
nem. A konjunktúra sosem érdekelt, mindig
a kedvteléseimnek éltem. Azt az elvet val-
lom ifjúkorom óta, hogy minden művészet
szakrális, s mint ilyen, az anyagiakkal
nem hozható összefüggésbe. A jutalmazás
Isten kiváltsága. Higgyünk a tévedhetet-
lenségében.

– Meg vagy elégedve az életeddel?

– Egy pár fontos befejezetlen ügyem ellenére úgy érzem, hogy a művészi feladataimat teljesítettem. Persze sok mindenhez másképp foghattam volna hozzá, gyakrabban követhettem volna a józan eszemet, s nem az ösztönös megérzéseimet. De lehet, hogy tévedek. Túlságosan intenzíven éltem.

– Sokszor érezted magad fáradtnak?

– Soha. Egyszerűen csak le-letörtem adott pillanatokban vagy felfrissítést nyújtó módokat kerestem. Fáradtságot sosem éreztem, mindig lelkesült állapotban voltam, mert mindig azzal foglalkoztam, amivel akartam. Sajnáltam az időt alvásra, evésre.

– Meddig lehet így élni?

– Meddig? Ez az egészségtől függ. És én már ráfizettem néhányszor. De, mint eddig is, többé-kevésbé egyben vagyok. A gondolkodás kimerít, a dzsessz megfiatalít. Kanadában trióban játszottam. Egy non-stop sztriptíz műsorban vettem részt, tizennégy órától éjszaka kettőig. Negyvenöt perc zene, tizenöt perc szünet és egy óra ebédidő, de csak éjfél tájban kezdtem el fáradni. Boldog voltam egész idő alatt. A sikeres élet legfőbb titka, hogy az ember azzal foglalkozzék, amire született. Ez esetben a munka megszűnik munka lenni.

– És ha semmire sem született?

– Ne foglalkozzék semmivel. Van egy kedves lengyelországi barátom, aki ezt teszi, vagyis nem tesz semmit. Nagyon sokat tanulhat tőle, jóval többet, mint az állandóan tevékenykedőktől.

– Ellentétéből vagy összegyúrva. Minek tekinted magad elsősorban?

– A zenélés teljesen automatikus és természetesen számomra. A vibrafonom megtervezése alighanem a legkeményebb jellempróbám volt, túlnyomórészt ellentét a természetemmel. Szeretem a tervezést, de csak bizonyos határok között. A vibrafonom megtervezése, mivel azt akartam, hogy tökéletes legyen, hellyel-közzel tízszer annyi ideig tartott, mint amennyire képes vagyok. Egyszerűen muzsikusnak tekintem magam.

– Milyen inspirációk segítettek az életben? Mely általad ismert lengyel művészek hatottak rád legjobban?

– Mivel olyan helyen és olyan korban éltam, ahol és amikor mindenki mindenki-vel naponta találkozott, gyakorlatilag a hatvanas és a hetvenes évek lengyel kultúrájának minden kiemelkedő alakjával összebarátkoztam. De bálványom csak néhány volt, s nem mindig a legismertebbek közül választottam ki őket.

– Ha újrakezdehetné az életedet, hasonlóképpen élnél?

– Igen, annak ellenére, hogy számos alapvető hibát elkövettem, mert mindig pontosan ugyanazt kerestem.

– Nevezetesen?

– A logikus abnormitást.

A NEVÉ MÁR ISMERJÜK

■ Witold Gombrowicz nevét több mint negyedszázada, az 1978-79. évi színházi évadban ismerhette meg a magyar közönség. Ebben az évadban lengyel színházi fesztivált rendeztek hazánkban, s novemberben a Vígyszínház bemutatta az *Operettet*. Rá négy évre első magyar nyelven kiadott regényét, a *Ferdydurkét* is kézbe vehették az érdeklődők. (És el is olvashatták persze, mármint azok, akiket nem riasztott el a szerző meghökkentően merész stílusa, kihívó világszemlélete, ki-méletlen szarkazmusa.)

Minden jel szerint az azóta eltelt idő is kevés volt ahhoz, hogy a kitűnő lengyel író, más világhírű alkotókhoz hasonlóan, igazán számon tartsák, emlegezzék, hivatkozzanak rá a hazai kritikusok és színházi emberek, irodalom- és színházbarátok. Pedig mára minden darabját színpadra állították, s legismeretebb prózai műveit is kiadták Magyarországon. (A *Ferdydurkét* 1987-ben követte a *Transzatlantik* és a *Pornográfia*, majd a rendszerváltás után *Naplója* is megjelent). Igaz, időnként egy-egy teátrum műsorára tűzi valamely darabját, s nagy csínadráttát csapva a mennyekbe menesztik, de a látz elmúltával újra csend támad körülötte. Vigasztaljuk magunkat azzal, hogy a Gombrowiczhoz hasonlóan őszinte, a nemzeti elfogultságokat és előítéleteket következetesen támadó magyar írókat sem öleleli keblére a nagyérdemű.

Nem volt egyöntetű annak idején már az *Operett* fogadtatása sem. Még pontos műfaji meghatározásában sem tudtak megegyezni a kritikusok. Egy részük paródiának tekintette, más részük nem. Utóbbiakal azonosult a rendező, Valló Péter, aki huszonöt év múltán visszaemlékezve az előadásra, azt nyilatkozta: „Az volt az elképzelésem, hogy úgy kell játszani, ahogy egy igazi operettet – csak éppen összedől benne az a világ, amelyet az operett képvisel”. (A fogalmi zűrzavarra vall, hogy akadt magyar műtész, aki ennek ellenére mint paródiáról számolt be egy lengyel lapban a Vígyszínház előadásáról.) Hogy Valló szándékát mennyire értették meg az egykori nézők, azt ma már bajosan deríthetnénk ki. Ha netán nem tetszett nekik a darab, ezért sem kárhoztathatnánk őket, hiszen maga Artur Sandauer, Gombrowicz munkásságának avatott értéke sem tartotta nagyra az *Operettet*. (Miképp a *Pornográ-*

fiát és a *Kozmoszt* sem.) Mindenesetre Mátrai-Betegh Béla, a MagyarNemzet kritikusa nem sok fogékonyságot feltételezett publikumunkról. „Némely néző nem sejtí – írta –, hogy az a süvegcsuki hegy, mely hűfödten az égbék színpadi horizontfüggönyön magaslik, tűzhányó kúpja is lehet. Inkább úgy gondolja, hogy az egy eldorádói nagy fagyalttölcsér, s látván, milyen édes-szájúan nyalakodva viselkednek körülötte bonvivánok, szubrettek, divák, operettbéli szépséges népségek, reméli, hogy egy nyallintás majd neki is jut ebből a vanillából. Ugyan ki fél attól, hogy egy fagyalttölcséren láva fortyog? Némely néző nem sejtí, hogy egy színpadi mű, amelynek Operett a címe, minden lehet, csak éppen operett nem. Elhiszi hát, hogy ott van, ahol van, s amikor még sem találja ott magát, csalódott”. Egy tény: a parádés szereposztás vonzotta a korabeli közönséget. És nem is kellett csalatkozniuk a színház vezető színészeinek – Balázs Péternek, Farkas Antalnak, Halász Juditnak, Hegedűs D. Gézának, Mádi Szabó Gábornak, Szombathy Gyulának, Tahi Tóth Lászlónak – a játékában.

A lapok viszont a színészi játék mélyebb elemzése helyett inkább azt emelték ki, s a szájpropaganda útján is az terjedt, hogy az utolsó jelenetben – horribile dictu! – egy meztelen nő látható. Peremartoni Krisztina volt ez a hölgy, aki talán az első magyar színésznőként, ruha nélkül jelent meg a színpadon. Valló utólagos magyarázata szerint szó sem volt ruhátlanságról, mert a színésznő térdig erő parókát viselt, úgyhogy nem lehetett látni „semmit”.

A meztelenség természetesen jelképes tartalmú Gombrowicznál, de – mint az ifjú Tarján Tamás fejtegette – „a Vígyszínház előadása nem foglal kellő harározottsággal állást, s így a pucér lány – pucér lány csupán. (A férfinézők zöme, Tarjától eltérően, aligha akadt fenn ezen...) Ezzel együtt kritikusunk „jelentős vállalkozásnak”, de „felsikernek” minősítette a bemutatót. Rajk András viszont egyértelműen a színházi élet jelentős eseményeként határozta meg a Balogh Géza által fordított mű előadását.

Az *Operettnél* kisebb figyelem irányult a kaposváriak *Esküvőjére*, Ács János rendezésére, ennek ellenére a Színház című szaklap a lengyel színházi fesztivál legjobb előadásának ismerte el a produkciót.

Fél évtized múlva, 1983-ban Krystian Lupa az Yvonne, burgundi hercegnőt vitte színpadra a veszprémi Petőfi Színházban, saját maga tervezve a díszletet és a kosztümöket is. Lupa, Gombrowicz mondandójához hűen, azt az alapgondolatot fejezte ki, hogy milyen korlátozottak az ember cselekvési lehetőségei. A groteszk tónusú előadásban arányosan vegyítette a tragikus elemeket és mozzanatoakat a komikusokkal. A színészekről maximális együttműködést várt el: megkövetelte tőlük,

hogy urai legyenek minden gesztusuknak, testük legapróbb rezdüléseinek is.

A darabot nagy sikerrel játszották a Balatonhoz közeli városban, bár a szokatlan előadásmód nem könnyítette meg a nézőknek a szöveg megértését. Az Yvonne előtt azonban Lupa már három alkalommal (1975-ben, 1978-ban és 1982-ben) dolgozott Veszprémben, ígyképpen stílusa már nem volt idegen a helyi színházbarátok számára.

Tizenegy év múlva, 1989 tavaszán a kaposvári Csiky Gergely Színház ugyancsak közönsége elé vitte az *Yvonne, burgundi hercegnőt*. A Népszabadság kritikusa szerint „a darab annyira a pszichológiai-filozófiai absztrakciók világában történik, hogy szinte bármikor, bármilyen valóságra könnyen vonatkoztatható, de éppen ezért talán lehetetlen megtalálni a tényleges valóságtartalmát. Ascher Tamás rendezése nem is törekszik erőszakkal valamilyen konkrét társadalmi-politikai valóságra vonatkoztatni a művet”. Megtudhatjuk még a kritikából, hogy „Csákányi Eszter Yvonne szerepében gondolatilag, és nem érzéketlenül csúnya”. A hercegnő ellentéte Iza udvarhölgy, „akinek szépsége Nagy-Kálózy Eszter alakítása folytán éppúgy tételszerű, mint Yvonne rútsága. És végül a műbírálát hasonlóan talányos értelmű zárómondata: „Hunyadkúrti György lakájának minden megjelenése sajátos jelentőséggel bír”.

Mindebből csak azt nem szűrhetjük le, hogy jó-e az előadás vagy sem. Ugyanez róható fel a Népszava műbírálójának is, hacsak be nem érjük a megállapításával, hogy: „A szerepkarikírozásokon túlmenően a koreográfia minden apró lépése megkomponált, pontosan illeszkedik egy tehetséggel, vizuális képzelőerővel teremtett színpadi látomás mechanizmusába”.

Ha a kritikusok félreérthetetlenül nem is minősítették az előadást, az mindenképpen mellette szól, hogy Csákányi Eszter elnyerte a legjobb női alakítás díját az az évi Országos Színházi Találkozó.

Nyolc év múlva Budapesten, a Katona József Színházban Zsámbéki Gábor is megrendezte az 1933-ban írt groteszk tragikomédiát – Yvonne másságára helyezve a hangsúlyt. Csákányi Eszter után Tóth Anita főiskolai hallgató a burgundi hercegnő szerepében nehéz feladatra vállalkozott, de jól oldotta meg azt. „Mély nyomot hagyott a nézőben a bemutatón” – írta róla Györfly Miklós a Magyar Nemzetben, aki szerint viszont a rendező nem találta fel magát az addigi munkáitól elütő játéksztílusban. „Emiatt az előadás egy kissé szaggatottan, bukácsolva halad előre. Összhatásában igazán csak a befejező kép sikerült jól: a szertartásos ünnepi vacsora, ahol mindenki azt lesi, mikor fullad meg Yvonne a halszállkától.”

Éppen húsz éve, 1984-ben az Európa Kiadó megjelentette Gombrowicz drámáit

Eörsi István, Pályi András és Spiró György fordításában, Pályi András utószavával. Az Élet és Irodalom 1984. október 12-i számában *A sors bozótjában* címen Földényi F. László ismertette a kötetet. A három darab – az *Yvonne, burgundi hercegnő*, az *Esküvő* és az *Operett* – a cikk szerzője szerint részben annak köszönheti világsikerét, hogy egybecseng az eszméknek a korunkra jellemző értékesztésével. „A végső szó az öröme – fejezi be írását a kritikus. – Különleges esemény a magyar könyvkiadásban, hogy Gombrowicznak újabb kötetete jelent meg magyarul. Szellemi életünk még mindig fájdalmasan érintetlen és elszigetelt a modern irodalomnak egy sajátos vonulatától, amelyet olyan abszolút magányos írók testesítenek meg, mint például G. Bataille, V. Nabakov, Pauline Réage vagy a nálunk csak töredékesen ismert Genet vagy Céline. A kelet-európaiságot egyetemes szintre emelő Gombrowicz közéjük tartozik.”

A regényíró Gombrowicz még kevésbé ragadta magával a magyarokat, mint a színműíró. Prózái alkotásai csak egy-egy kiadást értek meg eddig, s példányszámuk sem verdeste az ekeket. És bár pontos statisztikáink nincsenek, gyanítható az is, hogy a közkönyvtárak látogatói sem olvasák salátává a műveit. Ennek okait csak egy olvasásszociológiai vizsgálat tárhatja fel kellő alapossággal.

Gombrowicz neve igazán csupán a polonisták körében forog közszájon. Közülük is Kiss Gy. Csaba, Pálfalvi Lajos, Pályi András mindent megtettek az író „honosításáért”. „És hol érezhetné magát hazáján kívül ennyire otthonosan – írta Kiss Gy. Csaba 1984-ben a Könyvvilág hasábjain –, mint nálunk, ahol az életforma, a hagyomány számos vonása a lengyelekre emlékeztet, ahol legújabb irodalmunk bátor irányváltása hasonlít némely tekintetben az általa végrehajtott fordulatra?” Ha vonakodva is, de valljuk be, messze vagyunk még attól, hogy otthonosan érezzük magát Gombrowicz Magyarországon. Ám addig is tartsuk számon, kivételes példaként, hogy Eörsi István nagy lélegzetű, műfajilag nehezen besorolható könyvet szentelt az írónak *Időm Gombrowiczcsal* címmel. (Pesti Szalon Könyvkiadó, 1997). Személyes vallomás, naplónapló (mint a borítólapon olvasható), sajátos hangú jegyzetek csokra egyszerre ez a mű, s szerzőjéről legalább annyit megtudhatunk belőle, mint címadó hőséről.

Sok mindenről elmélkedik és sokakkal, közöttük mesterével is, vitatkozik benne Eörsi, de bármilyen témát érintsen is, viszonyítási pontja csaknem mindig Gombrowicz marad. Aki ismeri mindkettejük életfelfogását és írói alapállását, elvitathatatlanak tekinti szellemi rokonságukat – különösen a könyv elolvasása után.

Ábrán László ■

A „Magyarországi lengyelek szolgálataért” díjazottjai

KRZYSZTOF DUCKI

■ A jól ismert, s a magyar képzőművészek körében is megbecsült grafikus és plakáttervező 1997 márciusától 1999 áprilisáig a *Polonia Węgierska* magazinnak volt grafikai szerkesztője, 2000 szeptemberétől pedig a *Głos Polonii*-nál látja el ezt a feladatot. A Bem Egyesületnek az utóbbi években gondozott kiadványai is az ő keze nyomát viselik. Így pl. a *Közös lobogó alatt* (1848-49) c. kétnyelvű kötet, a *Lengyelek a magyar szabadságharcban*, a *Magyar-lengyel történelmi kapcsolatok a X-XVI. században*, a *Hűen a lengyel gyökerekhez – a Magyarországi Bem József Lengyel Kulturális Egyesület fennállásának 45. évfordulója* c. könyvek arculatát is ő tervezte. Legutóbb *Az égbolt hajfonatai* című, XX. századi lengyel költészeti antológiában láthattuk viszont illusztrációit. Ő tervezi évről évre a Szt. Adalbert Egyesület naptárát is. Plakátjai – ugyanis ez a műfaj áll legközelebb hozzá és ezen a téren érte el legnagyobb sikereit is – Magyarországon kívül számos külföldi és lengyelországi kiállításon szerepeltek.

– Szívből gratulálunk a díjhoz. Nagyon megérdemelted! Hogy fogadtad?

– Eleinte, amikor ez a díj létrejött, bizony akadtak kételyeim az elismerés formájával kapcsolatban. Ma már tudom, hogy egy kuratórium hozza a döntéseket, a jelölteket pedig önkormányzatok, szervezetek javasolják, vagy akár magánszemélyek is az itteni lengyelség köréből. Így természetesen igen megtisztelőnek érzem, hogy idén nekem ítéltek a díjat. Be kell azonban vallanom, hogy ritkán jelenek meg a polonista rendezvényeken. Az én aktivitásom inkább a munkáimmal mérhető le. Ezek révén igyekszem hozzájárulni ahhoz, hogy kedvező kép alakuljon ki Lengyelországról és az itt élő lengyelekről.

– Valóban, a Bem Egyesület elnökeként magam is nemegyszer megtapasztaltam ezt, s hálás is vagyok érte. Az *égbolt hajfonatai* – hogy csak a legújabb esetet említsem – meg sem jelenhetett volna a segítség nélkül, ahogy persze még mások, a szintén kizárólag az „eszméért” tevékenykedők segítségével nélkül sem.

A magyar művészettörténet a sajátjaként tart számon...

– Igen, 1982 óta lakom Magyarországon, lassacskán már több éve élek itt, mint szülőhazámban. Mivel itt végzem munkámat, minden elismerést és jutalmat magyar alkotóként kaptam, pedig csak egyetlen állampolgárságom van: lengyel... A nagy-

világban a magyar kultúrát képviselem ugyan, de Magyarországon lengyelként is részt veszek kiállításokon. Az idei Wilanówi Plakátfiennálé katalógusában Magyarország/Lengyelország címszó alatt szerepelek. Hosszú évek óta együttműködöm a helyi lengyel szervezetekkel, például a budapesti Lengyel Intézettel, de a varsói Magyar Intézettel vagy a krakkói Magyar Kultúra Centrumával is volt már több közös munkám.

– Két fiatal van: Tomek és Witek. Őket is rajzaikból ismerjük még a Polonia Wę-gierska említett éveiből. Mindketten kitűnően beszélnek lengyelül. Vajon egyebekben is nyomdokaikba lépnek?

– Tomek a budapesti Iparművészeti Egyetem nyelvelőves, animáció-szakos hallgatója. Már sok, elismerésben részesült rövidfilmet mondhat magáénak. Witek idén érettségizik a budapesti Piarista Gimnáziumban, a őt is vonzza a filmzés. A maguk körében, lehetőségeikhez mérten, mindketten lelkesen népszerűsítik a lengyel kultúrát.

– A lengyelség ünnepe alkalmából a „Négy égbolt” című tárlaton láthattuk legújabb plakátjait.

– Ennek a kiállításnak nagy jelentőséget

tulajdonítok. Szerintem ugyanis igen fontos, hogy a Közép-Európa hasonló közösségeinek művészei együttműködjenek, és közelebből is megismerjék egymást. Magam például a megnyitón találkoztam először személyesen a szlovákiai Zbigniew Błoński-val, aki máris több közösen megvalósítható ötlettel állt elő. Alicja Nagy ■

EWA MODRZEJEWSKA

■ Évek óta a dunaújvárosi lengyel közösség aktív tagja. Neki köszönhető, hogy a városban a kilencvenes évek elején megalakult egyesületünk helyi tagozata, amelynek ő lett az elnöke, s mindmáig ellátja ezt a tisztséget. 1994-ben megalapította a városi napközi iskolát, s maga is tanít benne. Nyolc év múlva, 2002-ben a lengyel kisebbségi önkormányzat alakult meg kezdeményezésére, Dunaújvárosban kívül a szomszédos Adonyra is kiterjesztve tevékenységét.

– Mindenekelőtt melegen gratulálunk a kitüntetésedhez. Hogyan fogadtad?

– Nagy meglepetésként ért, nem számítottam rá. Mindig arra törekedtem, hogy tegyek valamit városunk lengyeleiért. Férjhezmenetelem után ebben a városban telepedtünk le, itt neveltük mindkét, ma

már felnőtt gyermekünket: a lányomat és a fiamat. A kitüntetésemről szóló hírre büszkeség fogott el, hogy felfigyeltek rám, illetve egész közösségünkre. Hiszen nem egymagam szervezem a pályázatokat, a táborozásokat, találkozókat, kiállításokat. Szeretem ezt a tevékenységet, tele vagyok ötletekkel. Fontosnak tartottam az önkormányzat életre hívását, mert az ötletek önmagukban nem elegendők, pénz is kell a megvalósításukhoz. Igen jó a kapcsolatunk a polgármesterrel, nemkülönben a kulturális ügyek előadójával. Kedvesek és segítőkészek, amit e helyütt is megköszönök. Együttműködünk a város többi kisebbségével is. Már háromszor rendeztünk például kisebbségi napot, a románok, a horvátok és a szerbek részvételével.

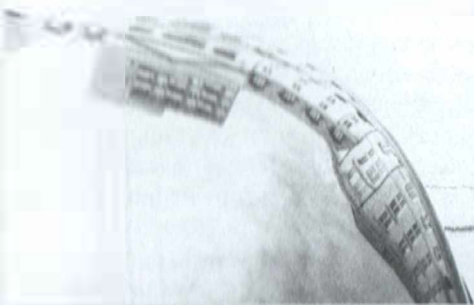
– Mire vagy a legbüszkébb?

– Arra, hogy sikerült közelebb hozni a magyarokhoz Lengyelországot:

– rajzpályázatot hirdettem meg róla az általános iskola tanulóinak (a pályaműveket immár másodszor állították ki idén a Bartók Színház előcsarnokában),

– kiállítást nyitottunk meg lengyel sajtógrafikákból és festményekből,

– zakopanei falikárpitokat, gobelineket és csipkéket mutattunk be. ►



Hej Lengyelország, hej ifjúságunk legszebb nyara!

■ Éppen véget ért az ospa, a himlőjárvány. Véddőtásokkal hősegesen ellátva Pászty Gyurka barátommal leszállunk a meredek tátrai úton fűtató csehszlovák autóbusról és gyalog megyünk át a határt jelentő kis hídon a Rybi potok felett. Megpróbálunk otthonosan körülnézni, mert mi tudjuk, hogy 43 évvel ezelőtt ez még magyar-lengyel határ volt.

Aztán az első autóstóp. Ócska furgon, barátságos 40 év körüli sofőr. Kiderül, hogy ő is tudja, hogy a túlódon Magyarország volt. Hosszú történetbe kezd apjáról és a magyarokról. Nem nagyon értjük, mert annyira azért nem tudunk lengyelül. Viszont ő tudja, hogy nekünk mi kell, Poronin határában megáll és a kátrák felé mutat: menjünk oda. Lengyel diáktábor, este táborláz, egy Danuta nevű lányunk fantáziáskusan csillog a szeme.

Másnap Ludzimierz, szemerkélő esőben százezer zarándok megdöbbenő látványa.

Aztán Nowy Targ, Krakkó, Wieliczka, Tarnów, Sandomierz és Varsó, Varsó. Egy teherautón együtt utazunk egy fickóval, aki a karján mutatja, hogy 56-ban adott vért a magyaroknak.

Igen, hölgyeim és uraim, azt hiszem a mai 50-60 év körüli magyar értelmiségiek nagy részének ilyen volt a meghatározó ifjúkori élménye. A legvidámabb barakkból ellátogattunk a legszabadabb lelki barakkba. Az igazi élmény és tanulság: egy nép maradhat lélekben szabad a legocsmányább elnyomásban is. Azóta Lengyelország a szívünk csücskében van, s ha tehetjük, újra és újra ellátogatunk oda.

Ezt tette Móser Zoltán is. Három évtized elteltével megkereste Varsóban a számára szerethető helyeket. Így lett a kiállítás alcíme: Varsó, ha szereted.

Nyoma sincs az útikönyvekben kötelezően megmutatandó műemlékeknek, a Rynek újjáépített hétszáz éves házainak, a híres látványosságoknak. A képek nem idegenforgalmi propagandát, hanem személyes érzéseket közvetítenek, ezért fekete-fehérek és időtlenek. Mert Móser ura az időnek. Az Óvároshól a Visztula felé vezető gyönyörű lépcsősoron közlekedő járókelőkről készült fotó ritmusát maga Cartier-Bresson is megirigyelhetné. A kép címe: Mi az idő, hol van Varsó? talán nem-sokára egy új Móser könyv címe lesz.

Nevezetes varsói épület egyetlen képen jelenik meg a maga építészeti teljességében. A Kultúra és Tudomány Palotájáról van szó, amit ezen a képen a mélységi életlenségből fakadó jótékony homály fed, a figyelmet az előtérben élesen rajzolódó

korlátra tereelve. A kiállítás ars poeticája ez a mű, Móser alkotó szeretetének megnyilvánulása. Alkotói módszere nemcsak a valóban gyönyörű ötszáz éves kút kőfaragványában találja meg témáját, hanem a csúnyácska lakótelepben is. Ez valóban nagy és fontos dolog. Példát és biztatást ad a nézőknek, mindannyiunknak. Sok kényes ízlésű fotóművész ilyen lakótelepre el se megy, vagy ha igen, csak azért, hogy megmutassa, hogy milyen ronda hely. Hogy ezt szeretni is lehet, annak megmutatásához nemcsak művésznek kell lenni, hanem Móser Zoltánnak is. Kérem fogadják szeretettel képeit!

És még valami, talán utóiratként.

Az ezer éves magyar-lengyel barátság túl nagy szó. Ezer év egy ember számára felfoghatatlan. Korosztályunk számára a barátság is problémás. Már akkor gyanús volt, amikor az ideiglenesen itt tartózkodó szövjetekkel kellett megdönthetetlen örök barátságot kötni, hát még akkor, amikor végre az egész béketábor recsegve összedőlt. Meggyengült hitünknek szüksége van az ilyen Móser-féle harminc éves visszatérésekre, ez teszi a nagy szavakat emberi léptékvé, ez adja meg a reményt arra, hogy mégis létezik két nép között igazi barátság, ami független a politika mulékony eseményeitől.

Köszönöm figyelmüket, a kiállítást megnyitom.

Haris László

Elhangzott 2004 augusztus 27-én Bicskén,

a Petőfi Sándor Művelődési Központban

MÓSER LÁSZLÓ

VARSÓ HARMINC ÉVVEL KÉSŐBB

című kiállításának megnyitójára

Köszönetet mondok mindazoknak, akikkel együtt dolgozom az önkormányzatban. Remélem, hogy sokat tehetünk még mind közösségünkért, mind magyar barátainkért.

Alicja Nagy

PÁLFALVI ANDRÁS

■ a székesfehérvári Barátság Háza Megyei Művelődési Központ igazgatója.

– *Hogyan reagált a kitüntetésre?*

– Igazi meglepetés volt számomra. Jómagamat és munkatársaimat is nagy örömmel töltötte el az, hogy ily módon ismerte el tevékenységünket a hazai lengyel közösség. Váratlanul ért bennünket a kitüntetés, de büszkék vagyunk a megismerésre.

– *Más nemzetiségi szervezetekkel is hasonlóképpen foglalkoztok, mint a lengyelekkel?*

– Megyei művelődési központunk neve, a Barátság Háza arra kötelez, hogy bizonyos nyitottságot mutassunk a hazai nemzetiségek iránt. Igyekszünk segítségére lenni szervezeteiknek, ha igényt tartanak erre és készek az együttműködésre. A székesfehérvári lengyel közösséggel ápolunk sok éves, hagyományos kapcsolatunk mellett támogatjuk a nemrég alakult, szárnyaikat bontogató kisebbségi önkormányzatokat

is. Együttműködünk már például számos kulturális program és kiállítás rendezésében – a lengyelen kívül – az örmény, a szerb, a szlovák és a német önkormányzattal. Lehetőségeinkhez mérten rendelkezésükre bocsátjuk helyiségeinket, tanácsot és segítséget adunk nekik. Teljesen természetes ez számunkra, hiszen intézményünk rendeltetése és célja más népek szokásainak, hagyományainak megismertetése Székesfehérvár és környéke lakóival.

– *Honnan ez a rokonszenv a lengyelek iránt?*

– Kapcsolatunk a székesfehérvári lengyelekkel gazdag múltra tekint vissza. A Polonia Klubbal – a Bem Egyesület helyi tagozatával – való tizenöt éves, s a kisebbségi önkormányzattal való együttműködésünk során találkozhattunk a nemzeti azonosságukat megőrző, a lengyel kultúrához erősen kötődő aktivistákkal és önkormányzati képviselőkkel, akik nemcsak a maguk köreiből ápolják kulturális hagyományait, hanem családtagjaikat és régiójuk lakosságát is meg akarják ismertetni velük. Nagy lelkesedéssel s odaadással szervezett vonzó és magas színvonalú rendezvényeikkel úgyszólván „megfertőzték” művelődési otthonunk munkatársait.

Tetszett nekünk az is, hogy a lengyelek rendezvényein minden korosztály képvisi

seltette magát, sőt gyakran a város vezetőisége, a nagykövetség és más országgrészek lengyeljei is. Megelégedéssel állapítottuk meg, hogy – ápolván hagyományait és szokásait, oktató anyanyelvüket, lengyel színészeket és művészeket vendégül látván, tanácskozásokat vagy országos találkozókat szervezve – otthonosan érezték magukat művelődési házukban.

Ilyenformán nincs mit csodálkozni azon, hogy partneri viszonyba kerültünk, s ez a partneri viszony teszi lehetővé – a kölcsönös megértés, tisztelet és rokonszenv atmoszférában – gyümölcsöző együttműködésünket.

– *Különösképpen további munkára kötelez a kitüntetés?*

– Figyelembe véve eddigi tapasztalatainkat, szeretnénk, ha ez az általunk természetesen tartott együttműködés folytatódna, mégpedig úgy, ahogy eddig.

A jövőben is nyitottak vagyunk ennek az érdekes közösségnek minden kezdeményezésére és javaslatára. Ezentúl is segítségükre leszünk szándékaik megvalósításában szaktudásunkkal, tanácsainkkal és tapasztalatainkkal, hogy együtt örülhessünk újabb sikeres rendezvényeiknek, találkozóiknak és kiállításainak.

Andrzej Straszewski

Még egyszer Sławikról



Könyvbemutató Uránia Filmszínházban

■ Ezekben a napokban a könyvesboltokba kerül Grzegorz Łubczyk műve: *A lengyel Wallenberg*.

A könyv a tavaly decemberben Varsóban megjelent, s korábban olvasóinknak bemutatott *A lengyel Wallenberg – Henryk Sławik* magyar nyelvű fordítása, egyszerűsített kiadása. Ugyanis a szerző

újabb fejezettel, Stefania Pieloknak, valamint a háború alatt a váci árvaházban lakó, most Izraelben élő menekülteknek a Polgári Bizottság elnökéről szóló visszaemlékezéseivel egészítette ki munkáját.

A könyvből a magyar olvasók megismerhetik az idősebb Antall Józsefet és Henryk Sławikot, a második világháború két szereplőjét, ám mégis kimagasló hősét, akik lengyel menekültek ezreit, közöttük sok zsidó származásút mentették meg.

Grzegorz Łubczyk, a Lengyel Köztársaság volt magyarországi nagykövete kiterjedt kutatómunkája és elkötelezettsége eredményeként újraéledt Henryk Sławik emlékezete. A két említett könyvön kívül a Lengyel Televízió ötven perces dokumentumfilmét készített Marek Madis és Grzegorz Łubczyk rendezésében: *A lengyel Wallenberg* címmel, amely bemutatja

ezt a kiváló és igaz embert, aki hősi tetteket vitt véghez a náci megszállás idején, de akinek tevékenységét eddig nemigen ismerték el. Örömről szolgál, hogy a hitlerista orvátmadás 65. évfordulóján az Elnöki Palotában a film bemutatása után Henryk Sławiknak posztumusz a Lengyelország Újjászületése Érdemrend csillaggal ékesített Parancsnoki Keresztje kitüntetését adományozták.

KONTAKTY

Ogólnokrajowy Samorząd Mniejszości Polskiej na Węgrzech 1102 Budapest, Állomás u. 10. tel./fax: 261-1798 Stołeczny Samorząd Mniejszości Polskiej na Węgrzech 1054 Budapest, Akadémia u. 13. tel./fax: 302-5116 Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema na Węgrzech 1051 Budapest, Nádor u. 34. tel. 311-0216, tel./fax: 312-8204 Stowarzyszenie Katolików Polaków na Węgrzech p.w. św. Wojciecha 1103 Budapest, Óbegr u. 11. tel./fax: 262-6908 Polska Parafia Personalna na Węgrzech 1103 Budapest, Óbegr u. 11. tel./fax: 431-8414	Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej 1068 Budapest, Városligeti fasor 16. tel.: 351-1301 Wydział Konsularny 1068 Budapest, Városligeti fasor 16. tel./fax: 351-1725 Wydział Ekonomiczno Handlowy 1143 Budapest, Stefánia út 65. tel./fax: 251-4677 Instytut Polski 1065 Budapest, Nagymező u. 15. tel. 311-5856, fax: 331-0341 Szkoła Polska im. Sándora Petőfi przy Ambasadzie R.P. 1025 Budapest, Törökmező u. 15. tel.: 326-83-06
---	---

GŁOS POLONII ▼ Pismo Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema na Węgrzech ▼ Dodatek miesięcznika *Polonia Węgierska*, finansowany przez Fundację Mniejszości Narodowych i Etnicznych ▼ Redaguje Kolegium pod kierunkiem Jerzego Królikowskiego ▼ Red. graficzny: Krzysztof Duciak ▼ Odpowiedzialny wydawca: Korinna Wesołowska, prezes Stowarzyszenia ▼ Adres: 1051 Budapest, V. Nádor u. 34. II.p. 1 ▼ Tel.: 311-0216 Tel./fax: 312-8204 ▼ ISSN 1219-7998 ▼

GŁOS POLONII ROK XVIII (XXXV), NR 78, wrzesień 2004 r.

www.bem.hu

SZANOWNA REDAKCJO!

Chciałbym na łamach „Głosu Polonii” serdecznie podziękować p. Kasi Balogh, kierownicze zespołu tanecznego „Polonez” za zaproszenie nas na ziemię żywiecką. Rozpoczął się rok szkolny, młodzież „poszła się uczyć”, a my studenci mogliśmy jeszcze zwiedzać piękne Beskidy Żywieckie. Obok walorów turystycznych i folklorystycznych mogliśmy poznać miejsca historyczne z Krakowem włącznie. Tak się dobrze złożyło, że wśród 8-osobowej grupy, większość to członkowie Legionu Polskiego.

Z ciekawością obejrzelśmy stanowisko przeciwartyleryjskie z okresu I wojny światowej w Węgierskiej Górze oraz obóz koncentracyjny w Oświęcimiu.

Gorące podziękowania kierujemy rodzinie Ormaniec, dzięki której czuliśmy się, jak u siebie w domu. Chcecie się o tym przekonać, polecamy:

Ośrodek Rekreacyjno-Wypoczynkowy „Beskidek”, Danuta i Marian Ormaniec

34-322, Gilowice 717, powiat żywiecki, tel.: 00 48-33 865-3030

e-mail: marianormaniec@interia.pl www.ormaniec.hg.pl

Łączę serdeczne pozdrowienia w imieniu grupy – Marton Piszler



1 września – przy mogile Józsefa Antalla



1 września – przy mogile płk. Zoltána Huhó



1 sierpnia – na cmentarzu wojakowym w Solymár



Darmozmyli przy odpust w Dorenku

10 września, w budapeszteńskim kinie Urania odbyło się spotkanie promocyjne z autorem książki „A lengyel Wallenberg” Grzegorzem Łubczykiem. Na spotkaniu obecni byli: b. Prezydent Węgier, Árpád Göncz – który wydanie to opatrzył słowem wstępnym – i b. minister spraw zagranicznych Géza Jeszenszky, a także ambasador RP na Węgrzech, Rafał Wiśniewski.



Węgierska Polonia na Kresach Wschodnich

Prof. Wiesław Bielak przedstawia model popiersia ks. Danka członkom Komitetu



w Siedmiogrodzie



■ Siedmiogród stał się nam, Polakom bliski, zwłaszcza po elekcji księcia Stefana Batorego na króla Polski. Był to zresztą okres wielu polsko-siedmiogrodzkich koligacji dynastycznych. Mogliśmy się przekonać, że węgierscy przewodnicy polskich grup turystycznych starają się wskazać wszystkie elementy i ślady tych powiązań.

Siedmiogród był też polem walki bohatera narodowego Polski i Węgier, generała Józefa Bema. On bowiem dowodził tu Armią Siedmiogrodzką w czasie wolnościowego zrywu Węgrów lat 1848-49.



Pod sztandarem osławionego wodza chciał walczyć „za wolność Waszą i naszą” kapitan Konrad Kazimierz Rulikowski, opuszczając szeregi wojsk cara i przechodząc na stronę powstańców. Nie było mu dane stoczyć więcej walk jak jedną. Wkrótce bowiem doszło do kapitulacji wojsk węgierskich, generał Bem udał się na emigrację, Rulikowski trafił do niewoli. Za dezercję, czy powiedzmy raczej za opowiedzenie się po stronie wolności narodowej, zapłacił życiem. Stracono go w miejscowości Nagyvárád, tam też pochowano w nieoznaczonej mogile. Tutejsi Węgrzy nie zapomnieli jednak polskiego bohatera. Na jego mogile pojawiały się kwiaty, palono znicze. Gdy zaszły sprzyjające warunki, pochowano go w grobie oznakowanym na nowopowstałym cmentarzu, który otrzymał nazwę cmentarza Rulikowskiego. Jego nazwisko upamięt-



niono też nazwą ulicy, która do tego cmentarza prowadziła. I choć dziś oficjalna nazwa cmentarza to Cmentarz Miejski, a i nazwa ulicy została zmieniona, dla Węgrów z Nagyvárada jest to nadal Cmentarz Rulikowskiego i ulica Rulikowskiego.

W 155. rocznicę śmierci polskiego bohatera – 28 sierpnia br. – 43-osobowa grupa „bemowców” oddała mu hołd i cześć składając wieniec pod obeliskiem wzniesionym na jego mogile. Do udziału w uroczystości zaprosiliśmy też przedstawiciele Demokratycznego Związku Węgrów w Rumunii. Ta uroczystość właśnie była głównym celem wyjazdu do Siedmiogrodu. A że przy okazji mogliśmy poznać najciekawsze zabytki Nagyvárada i Kolozsváru oraz znajdujące się na trasie między tymi dwoma miastami, to już dodatkowy przyjemny element eskapady.

JK

Składanie wienców pod obeliskiem kpt. Rulikowskiego

